



BRAMY POWIATU

BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 1(16)

CIECHANÓW 2023





Grażyna Czerwińska – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji, Zdrowia, Sportu i Spraw Społecznych w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.

Dr Tomasz Czerwiński – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.



Ewa Gładysz – koordynator Powiatowego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Ciechanowie.

Jan Andrzej Kaluszkiewicz – starosta ciechanowski; muzyk i pedagog, autor, działacz społeczny; członek niezapomnianego zespołu muzycznego „Kolumbowie”.



Marzena Janina Kowalik – od 40 lat mieszka w Gdańsku, ale jej serce nigdy nie wyjechało z Północnego Mazowsza. Poszukiwaczka i kolekcjonerka „rodowych sreber, oczarowana poźółkłą fotografią”.

Leszek Pszczółkowski - mieszka w Ciechanowie, pochodzi z Pszczółek Górnych. Prowadzi badania dotyczące historii gminy Grudusk i okolic w XX wieku.



Wydawca:

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów
www.ciechanow.powiat.pl
ISSN 2657-7615

Skład i druk:

Drukarz Sp.j.
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów
tel.: 23 672 71 12; www.drukarz.net.pl



SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI.....	5
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z KART HISTORII.....	6
<i>Andrzej Kaluszkiewicz</i> BYŁ SOBIE... ZESPÓŁ KOLUMBOWIE	8
<i>Jacek Woźniak, Leszek Pszczółkowski</i> ROK 1920. RELACJA EUGENIUSZA MAŁACZEWSKIEGO Z WIZYTY NA FRONCIE POD CIECHANOWEM.....	13
<i>Ewa Gładysz</i> CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ.....	18
<i>Marżena Janina Kowalik</i> VINCTIS NON VICTIS. POKONANYM NIE ZWYCIĘŻONYM.....	27
<i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI WIERZBA I PALMA.....	38







OD REDAKCJI

Wydajemy nowy numer „Bram Powiatu”, nr. 16, pierwszy w 2023 roku. Kwartalnik będzie miał ciągłość i dalej będzie pisał o naszej ziemi ciechanowskiej, będzie drukował wspomnienia, będzie skarbnicą wiedzy o tradycji, obrzędach i ludziach związanych z Ciechanowem i nie tylko. Najłatwiej jest zlikwidować coś, odbudowa przebiega bardzo trudno, a niejednokrotnie nie kończy się sukcesem. Postanowiliśmy zachować „Bramy Powiatu”, co prawda w zmniejszonym nakładzie, ale w podobnej formie i szacie graficznej. Chcemy zostawić potomnym fizyczny ślad, bo teksty w rzeczywistości wirtualnej są czasami bardzo ulotne, trudne do odzyskania, a nawet kasowane przez ich twórców lub administratorów.

W tym wydaniu polecamy relację Eugeniusza Małaczewskiego z wizyty na froncie pod Ciechanowem w czasie wojny polsko – bolszewickiej w 1920 roku, którą opracowali p. Jacek Woźniak i p. Leszek Pszczółkowski.

Pani Ewie Gładysz o swoim bogatym, sportowym życiu opowiada znany trener, współtwórca sekcji podnoszenia ciężarów Mazovii Ciechanów Zdzisław Piotrowski..

Marzena Kowalik wspomina czasy powstania styczniowego przez pryzmat wydarzeń rodzinnych w artykule „Vinctis non wictis”.

Dr Tomasz Czerwiński pisze o symbolice wierzby, która jest charakterystycznym elementem krajobrazu mazowieckiego.

Wreszcie po latach ukazuje się największy „półkownik” „Bram Powiatu”, czyli III część wspomnień o zespole Kolumbowie, która dopiero teraz znalazła „wolną przestrzeń” do publikacji. Przygotowujemy jeszcze część IV i ostatnią. Jest to historia zespołu muzycznego, który swoją działalnością rozślawił rodzinne miasto w całym kraju. Warto przeczytać.

Starosta Ciechanowski

Jan Andrzej Kaluszkiewicz

Z kart historii



Budynek Starostwa w Ciechanowie,
okres okupacji; ze zbiorów
Grzegorza Domańskiego



W okręgu wyborczym Ciechanowskim powołani na Członków do Rady Powiatu Przasnyskiego: Włodek Hipolit; Ks. Nałęcz Ksawery; Ciemniowski Seweryn; Górecki Roman; Engelke Juliusz. Na zastępców: Pawłowski Jan; Zakrzewski Feliks; Kołakowski Antoni; Gogolewski Tomasz; Lentz August.

(*Dziennik Powszechny:*
pismo urzędowe, polityczne
i naukowe, 1861)



Zakaz. Władze gubernialne poleciły sołtysom przestrzec ludność wiejską, że za podsukubowanie gęsi będzie karana.

(*Słowo, 1911)*



Kareta pocztowo pasażerska pomiędzy Przasnyszem a Ciechanowem zimą i latem codziennie. Cena przejazdu od osoby kop. 80. Wychodzą z Ciechanowa o godzinie 11 w południe (przybywa do Przasnysza o godzinie 4-ej) i o godzinie 11-ej wieczór (przybywa do Przasnysza o godzinie 2-ej rano); z Przasnysza o godzinie

4-ej rano (przychodzi do Ciechanowa o godz. 7-ej rano) i o godzinie 2 po poł. (przychodzi do Ciechanowa o godzinie 5-ej po południu). Przejazd karetką z miasta do dworca kolei kosztuje k. 10.

(*Kalendarz dla Płocka i okolicy*
na rok zwyczajny 1891)



Zabawa w zamku, zapowiedziana na niedzielę, w połączeniu z loterią fantową, będzie obfitowała w atrakcje. Oprócz dwóch orkiestr: wojskowej 11 p. uł. i strażackiej, produkować się będą artyści warszawscy monologami i śpiewami. Poza tem ruiny zamku będą wieczorem iluminowane oraz puszczane będą ognie sztuczne. Największą jednak atrakcją zabawy będzie zapewne loteria fantowa, na którą napłynęło moc fantów, a między innymi: dwie dolarówki, 2 cielaki, 1 byczek, 4 barany, 5 prosiaków, bardzo wielu kur, kaczek, gęsi, kilka korców żyta itp. Zabawę urządza, jak wiadomo, sprężysty Zarząd Koła Kulturalno – Oświat. przy Komendzie Policji Państwowej na cele oświatowe, które niewątpliwie będą gromadnie poparte przez cały Ciechanów i szerszą okolicę. Początek zabawy – o godz. 3-ej.

(*Goniec Mazowiecki, 1924)*



Klice. W dniu 18 maja tutejszy zespół amatorów wystawił obraz sceniczny w trzech aktach ze śpiewami i tańcami „Pilnuj swego” Br. Wrzosa. Przedstawienie odbyło się w spichrzu, łaskawie udzielonym przez p. senatora Michała Bojanowskiego, w którym urządzono salę teatralną ze sceną, odpowiednio udekorowaną zielenią. Pięknie, gustownie i typowo urządzona scena

przedstawiała alkierz w domu gospodarskim z Łowickiego, przyozdobiony ślicznymi wycinankami. Amatorzy, dzięki umiejętnej reżyserii pań: Marii Bojanowskiej i Tarczyńskiej – miejscowej nauczycielki, wywiązali się ze swych ról znakomicie. Po przedstawieniu odbyła się zabawa taneczna, połączona z obficie zaopatrzonym w smaczne kąski i napoje bufetem, na której młodzież obojga płci pod okiem starszych wesoło bawiła się aż do nastania nocy. Dochód z przedstawienia i zabawy w kwocie przeszło 150 złotych, na wniosek pana senatora został przeznaczony na rzecz głodnych dzieci.

(*Goniec Mazowiecki* 1924)

✕ ✕ ✕

Otrucie grzybami. W niedzielę na stacji kolei Nadwiślańskiej Ciechanów żona Ignacego Klimka, dróżnika obchodowego, uzbierawszy grzybów ugotowała takowe i z 10-letnim swoim synem spożyła na obiad. W kilka godzin potem matka i dziecko zachorowali. Mimo udzielenia im pomocy lekarskiej, dziecko w kilka godzin zmarło, matka zaś w strasznych boleściach wczorajszej nocy skoła. Przyczyną ich śmierci było spożycie grzybów, które okazały się trującymi.

(*Kurier poranny*, 1893)

✕ ✕ ✕

Hotel Restauracja Cukiernia „Gastronomja” Ciechanów pl. Kościuszki 15 (obok Kina). Niniejszym mam zaszczyt zawiadomić W.P.P., że w dniu 26 maja objąłem u pani Nawrockiej kierownictwo i zarząd wyżej wspomnianym zakładem. Jako były kierownik Hotelu i Restauracji „Savoy” w Warszawie, mam nadzieję zadowolić wszelkie wymagania Szanownych Gości. Polecając się łaskawym względem W.P.P., pozostaję z poważaniem. Czesław Kęzik.

(*Goniec Mazowiecki*, 1924)

✕ ✕ ✕

Magazyn gotowych ubiorów męskich L. Klikiego, Ciechanów, ul. Warszawska Nr 49

poleca: rozmaite ubrania gotowe i wykonywa wszelkie zamówienia, w zakres krawiectwa wchodzące, z materiałów własnych i powierzonych, po cenach możliwie umiarkowanych.

(*Goniec Mazowiecki*, 1924)

✕ ✕ ✕

Na froncie i poza frontem. W Ciechanowie na kilka dni przed napadem band bolszewickich, z polecenia starosty aresztowano miejscowego właściciela domu, niejakiego Tomaszewskiego, który poprzednio był komisarzem bolszewickim w Charkowie. Istniało uzasadnione zapewne przypuszczenie, że Tomaszewski powrócił do kraju, aby tutaj zorganizować „sowiec” i działać na rzecz bolszewików.

(*Gazeta Poranna*, 1920)

✕ ✕ ✕

K.P. sąd pokoju w Lipnie (miejski) stosownie do art. 846 i 847 U.P.K. poszukuje Pelagii Koszubskiej, córki Marjana i Marjanny z Lewandowskich małż. Kamińskich, lat 35, stałej mieszkanki wsi Ostrowitko, gm. Kłokock, pow. Lipnowskiego, ostatnio zamieszkałej w Ciechanowie, skazanej za kradzież na 4 miesiące więzienia. Koszubska zbiegła z więzienia w Ciechanowie w d. 30 lipca 1918 r. Rysopis i znaki szczególne zbiegłej nieznane. Osoby, którym znane jest miejsce zamieszkania Koszubskiej, winny wskazać je sądowi do akt Nr K. 41/918 r. lub najbliższej władzy.

(*Dziennik Urzędowy Ministerstwa Sprawiedliwości*, 1918)

✕ ✕ ✕

Na zasadzie postanowienia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 21 listopada 1919 r. Nr P.Z.2395 zostało wciągnięte do rejestru stowarzyszeń i związków, Nr 135 stowarzyszenie pod nazwą „Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Właścicieli Nieruchomości” m. Ciechanowa.

(*Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych*, 1919)

Wybrała Grażyna Czerwińska

BYŁ SOBIE... ZESPÓŁ KOLUMBOWIE (3)



Na rampie Domu Kultury

Czy myśleliśmy o wielkiej muzycznej karierze? Tak. Każdy z nas ćwiczył, grał, ciężko pracował żeby osiągnąć coś wielkiego. Nawet najwięksi sceptycy - Wojtek Jabłoński i Andrzej Radź gdzieś w głębi na pewno chowali swe sny o potędze. Patrząc na tamte czasy z perspektywy lat zauważyłem, że my nigdy nie dbaliśmy o pieniądze. One po prostu były i każdy przyjmował to jako rzecz naturalną. Więcej zależało Kolumbom na prestiżu. Nawet w najmniejszym miasteczku graliśmy tak, jak w Warszawie czy Katowicach. To było priorytetem, a nie marna mamona, z którą każdy z nas się szybko rozstawał, przeznaczając na bardziej lub mniej ambitne cele. Jak ten świat się zmienił.

Nasz gitarzysta solowy Mirek („Mały”) Puchalski był ostoją spokoju w zespole. Wiele byśmy stracili bez jego zimnej krwi i kalkulacji. Potrafił każdą sprawę spokojnie rozważyć i rozwiązać, bo niektórzy z nas byli w stanie mocno zapętlić byle błażostki. To Mirek łagodził konflikty w zespole, rozmawiał z niesolidnymi organizatorami koncertów, przekonywał nas i naszych przeciwników, aż osiągnaliśmy konsensus. Zawsze wesoły, uśmiechnięty. Mirek był bardzo dobrym gitarzystą, grającym spokojnie, dokładnie i czysto. Skomponował kilka piosenek dla zespołu. Były to rzeczy niebanalne,

śpiewane w chórkach, łatwo trafiały do słuchacza. Szkoda, że nie zachowały się nagrania tych piosenek. Nie istnieje zapis nutowy. Wtedy o tym nikt nie pomyślał, a dziś nasz nadworny kompozytor i cały zespół nie zostawił pamiątki po swojej artystycznej działalności. „Mały” cieszył się dużą charyzmą w zespole z racji „wieku i urzędu”. Po pierwsze był chyba najstarszy, a po drugie grał na instrumencie, który determinował barwę zespołu i miał największy wpływ na jego brzmienie.

Marek (Mariusz) Bryl, który przyszedł do zespołu najpóźniej, był najmłodszy. Między mną a Markiem była różnica 2 lat. Był moim przyjacielem od dawna. Wiedziałem, że świetnie gra na perkusji, bo wcześniej graliśmy razem w zespole Posejdon. Zналиśmy się jeszcze z czasów szkoły muzycznej. Uczyła nas gry na fortepianie nieodżałowana Pani Anna Wojnarowska. Po latach Wojtek powiedział mi, że moje przyjęcie



Wojciech Jabłoński, Andrzej Radź i Mirek Puchalski w swoim macezniku



Wojtek „na basie”, w tle Andrzej Kaluszkiewicz;
9.11.1969 r., „Ekonomik”

do zespołu konsultował z profesorem Wojnarską i tam otrzymał potwierdzenie moich umiejętności. Gdy się o tym dowiedziałem, byłem niezmiernie zaszczycony i dumny z takiej protekcji. Marka z kolei rekomendowałem ja, ale przede wszystkim zarekomendowały go jego zdolności, jakie niewątpliwie posiadał. Wprowadzaliśmy go powoli do składu. Był już chyba czwartym perkusistą, który grał w zespole, ale okazał się bezwzględnie najlepszym. Wybitnie utalentowany muzyk, mający szalone predyspozycje, grający bardzo ofensywnie stał się sercem i nerwem rytmicznym zespołu. Zaczęliśmy grać ostrzej. Do repertuaru weszły utwory bardziej skomplikowane, trudniejsze. Mieliśmy z tego dużą frajdę. Np. solo na organach w „Italiam, Italiam” Czesława Niemena zawsze wywoływało podziw i konsternację wśród słuchaczy, graliśmy („porwaliśmy” się na to...) utwory grupy Emerson, Lake & Palmer,

co było w owym czasie bardzo awangardowe i niezwykle trudne. Mój utwór z tekstem Andrzeja Adamowicza „W tartaku” (wymowny tytuł) robił karierę ze względu na popisowe solo na perkusji. Solo grał Marek Bryl i otrzymywał za nie nagrody. Tak „wykuwaliśmy” markę i styl zespołu. Wiele się wtedy nauczyliśmy. Choć w prasie ukazywały się niekiedy nieprzychylnie recenzje o zespole, kiedy pisali, że „stanęliśmy w miejscu”, że „bazujemy na sukcesie chorzowski”, to nikt z nas nie traktował tego poważnie. Właśnie wtedy był to czas największego rozwój zespołu i jego muzyków, najlepszy czas



fol. M. Sanecki

KOLUMBOWIE O SOBIE

...dlaczego „Kolumbowie?” Nie wydaje nam się bynajmniej, że odkrywamy w muzyce coś nowego. Zwycięstwa w eliminacjach II Młodzieżowego Festiwalu Muzycznego były dla nas niespodzianką. Ostateczne przyznanie nam miejsca przez finałowe jury szóstego miejsca (uhonorowano nas także nagrodą, której nota bene dotychczas nie otrzymaliśmy) podbudowało nas. Równocześnie jednak spojrzeliśmy na naszą działalność z większym dystansem, mogąc ocenić i porównać naszą muzykę z tym, co grali lepsi od nas. Opiaramy się na angielskich standardach i kompozycjach własnych, przez siebie aranżowanych.

Autorem większości aranżacji jest kierownik zespołu, były kłarnecista Alfa Dixielanders i Old Timers — Wojciech Jabłoński (org, voc). Szczególną wagę przywiązujemy do przejrzystości aranżacji, do ścisłego zintegrowania wszystkich elementów tak, by utwór był nierozzerwalną, pozbawioną przypadkowości całością. Nawiązujemy do rhythm and bluesa, chociażby w takich utworach jak „Ja wiem”, „Co mnie obchodzi twoje kłopoty”; w tym zresztą stylu śpiewa większość utworów wokalista grupy Andrzej Radz (Najbardziej leży mi shouting blues — mówi o sobie).

Nie chcemy, aby nasza muzyka pozbawiona była liryki (nie sentimentalizmu), stąd utwory: „Mówisz, że mnie kochasz”, „Chcę”, „Lepiej nie liczyć na mnie”. Nie od razu ukształtował się taki profil repertuaru.

Zespół nasz powstał w 67 r. potem było kompletowanie sprzętu (trwa do dziś — apetyt rośnie w miarę jedzenia) i próby, próby, próby. Pomocy — nie tylko finansowej — udzielił nam w tym okresie Powiatowy Dom Kultury w Ciechanowie, pod którego patronatem działamy. W marcu 68 r. nagraliśmy kilka piosenek dla Radiostacji Harcerskiej; od tego czasu pracujemy przez nikogo nie niepokojeni.

Nasi faworyci? Mówi Mirosław Puchalski (g. sol, komponuje): „podziwiamy Mayalla, Hendixa, lubię José Feliciano”. Andrzej Kutolowski (dr, autor większości tekstów) każdemu ma coś do zarzucenia, sobie najwięcej: „w wolnych chwilach kontempluję Illinois Jacquet’a”, Mirosław „Duży” Kowalski (b): „fascynuje mnie basista z zespołu J. Browna... ponadto Rolling Stones, Spencer Davies Group, Brian Auger Trinity”. Chcemy, by nasze piosenki były komentarzem do problemów, które przeżywa młodzież, staramy się o autentyczność ich muzycznej i tekstowej warstwy. Wydaje nam się, że świeżość wyrazu powinna być najmocniejszym atutem zespołu niezawodowego... Nasze plany? Trudno coś konkretnego powiedzieć, każdy z nas ma za sobą spory muzyczny staż, myślimy jednak o zmianach personalnych. Obiecujemy, że nie wyłamiemy się ze ścisłej krajowej czołówki zespołów niezawodowych. Coś dla sympatyków? Jeśli są — prosimy, piszcie, Ciechanów, Strażacka 1. (K.)

Pisał o nas miesięcznik Jazx, grudzień 1969 r.

POWIATOWY DOM KULTURY W CIECHANOWIE

GRUPA

KOLUMBOWIE

LAUREACI II MŁODZIEŻOWEGO FESTIWALU MUZYCZNEGO „CHORZÓW-69”



KIER. ZESPOŁU-WOJCIECH JABŁOŃSKI-bass. ANDRZEJ RADŹ-voc.
MIROSLAW PUCHALSKI-git. ANDRZEJ KALUSZKIEWICZ-org. MAREK BRYLL-drums.

Plakat

artystyczny Kolumbów. Byliśmy dla niektórych klasą samą w sobie.

Marek Orzechowski - dojrzał w płońskim Liceum im. Henryka Sienkiewicza w rytm

muzyki Kolumbów, których jako nastolatek podziwiał na scenie; ukończył wyższe szkoły, został dziennikarzem i pisarzem. Od wielu lat na Zachodzie, był wieloletnim korespondentem

Voice of America w Bonn, później także TVP i Polsat w Bonn i Brukseli; był świadkiem upadku Muru Berlińskiego, aktywnie wspierał polską integrację z zachodnimi strukturami - NATO i Unii Europejskiej. Autor licznych książek, m.in. „W Belgii, czyli gdzie”, „Holandia. Presja depresji”, „Zdarzyło się w Berlinie”, „Europolis, czyli diabeł mieszka w Brukseli”, „Mój sąsiad islamista”, „Chaos. Nowy porządek świata”.

Doradca komisarza ds. rozszerzenia Guntera Verheugena, z którym napisał książkę „Rozszerzenie Unii 2004”. Żałuje, że Kolumbowie nie nagrywali płyt, ponieważ nadal by ich słuchał, zwłaszcza kiedy pisze.

To tyle o Marku. Teraz Marek o nas:

Kolumbowie

Aby odkryć świat nie trzeba wyruszać w daleką i niepewną drogę, jak Kolumb. Zdarza się, że wystarczy rozejrzeć się wokół. I wówczas można spotkać Kolumba lub Kolumbów blisko, tuż obok. Na przykład w Ciechanowie.

Nie pamiętam w jaki sposób dowiedziałem się, że grają dobrą muzykę. Kończyłem płońskie Liceum im. Henryka Sienkiewicza, zbliżało się lato, wakacje, i pomyślałem, że warto byłoby spędzić kilka dni wśród żywej muzyki. Tak narodziło się Płońskie Lato Muzyczne. Z dzisiejszej perspektywy nic szczególnego, wówczas przełamujące wiele schematów – wymagało też nieco odwagi, dużo cierpliwości i wytrwałości. Nie tylko od nas, pasjonatów nowej muzyki, ale i od urzędów, struktur, ba, zmiany filozofii życia w tak jednorodnym, niewielkim środowisku. Krok po kroku doprowadziliśmy do tych spotkań, podczas których obok występów muzycznych zespołów, w programie były pokazy muzycznych filmów, warsztaty, a także przyjacielskie spotkania – inne od innych.

Byłem zafascynowany Czesławem Niemieniem. Ucieleśniał dla mnie wszystko, co oznaczała muzyka, jej przestrzeń, odwaga, atmosfera. Był wymagającym artystą, nie dla każdego, chociaż wszyscy znali jego nazwisko



Sila spokoju i talentu – Mirek Puchalski



Powrót z koncertu, nareszcie w domu...

i nie ukrywali swoich opinii. Zabiegałem, aby wybrał się w naszą stronę, ale nigdy do tego nie doszło, z wyjątkiem wcześniejszego występu Niebiesko-Czarnych, w których był obok Wojciecha Kordy solistą.

Kolumbowie, jak się już pierwszy raz w Płońsku zjawili, zafascynowali mnie dźwiękiem i muzyczną odwagą. To byli Rolling-Stonesi i kilka innych zespołów w pigułce. Wyróżniali się nie tylko warsztatem, tworzyli swoją obecnością pewną aurę, prawdziwą aurę doświadczonego i pełnego muzycznej wrażliwości zespołu, który równie dobrze mógłby pochodzić z Wielkiej Brytanii. Kolumbowie to był zespół utalentowanych muzyków, którzy urodzili się aby grać. Przewodził im z dominującą osobowością Wojtek Jabłoński. To się czuło, to było widoczne i to sprawiło, że byli właśnie Kolumbami. Tam, gdzie grali, przynosili swoją muzyką świat, który był dla nas wówczas zamknięty, niedostępny. Płynęli z nami w stronę dalekich brzegów, które dzięki nim stawały się bliskie. Pochodzili z Ciechanowa, ale to było złudzenie. Wystarczyło



Powrót z koncertu, przed Domem Kultury

pójść na ich koncert. I już było się w wielkim, bezgranicznym świecie dobrej muzyki.

Z Kolumbami przeżyłem swoją młodzieńczą przygodę muzyczną. Dziękuję Wam, dziękuję za wspólną podróż w świat muzyki, Waszą pasję i poświęcenie, a także poczucie wspólnoty. Wasza muzyka łamała schematy, a aura jaką tworzyliście pozwalała wierzyć, że Kolumbowie to nie był przypadek: muzyka na Was czekała.

Marek Orzechowski

Dziękujemy Marku za piękny tekst. Po tylu latach, a wspiera nas i cieszy.

Pamiętam, jak po koncercie zostaliśmy we trójkę - Marek Bryl, Zbyszek Kuchalski i ja w jakimś miasteczku, by pełnić nazajutrz honory jurorów w lokalnym przeglądzie piosenki. Po konkursie poproszono nas o występ. Propozycja była nierealna, ale po naradzie zgodziliśmy się zagrać na scenie. Skład był nietypowy, a mianowicie: Marek na gitarze, Andrzej – czyli ja na basie i Zbyszek na perkusji. Nasze wykonanie kilku utworów Jimiego Hendrixa tak podobało się publiczności, że przez godzinę nie mogliśmy zejść ze sceny. A przecież każdy z nas grał wtedy na nietypowym dla siebie instrumencie. Co wtedy graliśmy? Na pewno „Purple Haze”, „All Along The Watchtower”, „Foxey Lady” i oczywiście „Hej Joe”. Marek pięknie śpiewał mało znaną piosenkę Tadeusza Nalepy „Za siódmą górą”. Pozwoliliśmy sobie na to szaleństwo... i wypadło wspaniale.

c. d. n.

Andrzej Kaluszkiewicz

Zdjęcia: Czesław Krakowski – „Foto Kalina”, Marek Orzechowski i ze zbiorów członków zespołu

ROK 1920. RELACJA EUGENIUSZA MAŁACZEWSKIEGO Z WIZYTY NA FRONCIE POD CIECHANOWEM

Eugeniusz Małaczewski (1895¹-1922) – znakomity, choć zapomniany dziś pisarz; pozostawił po sobie oprócz fascynujących opowiadań i poezji wojennej także publicystykę i reportaże. Jeden z nich jest ciekawą relacją z podróży gen. Hallera na świeżo wyzwolone spod okupacji bolszewickiej tereny w okolicach Ciechanowa.

Małaczewski pochodził z rodziny szlacheckiej osiadłej w okolicach Humania, a więc na dalekich ukraińskich Kresach Rzeczypospolitej. Tam ukończył czteroklasową szkołę. Po śmierci ojca musiał wczesnie podjąć pracę, między innymi jako pomocnik adwokacki. Doksztalał się też samodzielnie, czerpiąc wiedzę między innymi z bogatych bibliotek polskich dworów tanych stron. W czasie Wielkiej Wojny służył w armii rosyjskiej na wielkim teatrze wschodniego frontu. Pod Mołodecznem przeżył atak gazami bojowymi. Gdy po rewolucji lutowej 1917 roku zaczęły powstawać polskie jednostki wojskowe, dołączył do I Korpusu Polskiego gen. Dowbora-Muśnickiego na Białorusi, a następnie do polskich formacji na Ukrainie. Z żołnierzami gen. Hallera przedzierał się na daleką północ, gdzie pod boki aliantów powstawały polskie oddziały. Walczył w słynnym oddziale dźwińskim „Lwów Północy” w okolicach Archangielska. Następnie dołączył do armii gen. Hallera we Francji, z którą dotarł do Polski, by walczyć na froncie ukraińskim, a następnie z Rosją sowiecką. Był aktywny w środowisku



Eugeniusz Małaczewski źródło: Wikipedia

pisarzy skupionych przy referacie literackim Głównego Inspektoratu Armii Ochotniczej. Niestety, gruźlica, której nabawił się jeszcze na dalekiej północy, przyczyniła się do przedwczesnej jego śmierci. Zmarł w Zakopanem w 1922 roku, gdzie został pochowany.

W twórczości Małaczewskiego można wyodrębnić kilka nurtów. To przede wszystkim oddanie chwały żołnierzom polskich korpusów w Rosji, rozbrojonych przez Niemców i walczących z bolszewikami. To epopeja walk polskich

¹ Inne podawane w literaturze przedmiotu daty urodzenia to rok 1896 lub 1897.

Z wycieczki na front

Rankiem słonecznym i wietrznym wyjeżdżamy na front. Kierunek na Ciechanów-Mławę.

Kolumna samojazdów osobowych. Na czele auto Dowódcy Frontu — Generała Hallera, powiewające dwójbarwną chorągiewką z orłem. Rwiemy naprzód, oczywiście nie z kopyta, lecz ze wszystkich szyn gumowych. Wdzieramy się po równej szosie w przestrzeń, niby w olbrzymią sztukę gwałtownie rozdzieranego na obie strony płótna. Wzdłuż szosy podwójny szpaler polskich oleandrów, starych, pochyłych wierzb, powykęcanych fantastycznie; niektóre są podobne do potężnych maczug, rosnących z ziemi, o głowniach nastroszonych miotłami narości zielono-srebrnych. Są i suche wierzby. W tych, wedle podań ludowych, kochają się chętnie djabły. Sądzę, że kochali się w nich i bolszewicy, którzy przed kilkoma jeszcze dniami tłoczyli się po tej szosie ciężką zbójceckich taborów i rozłaźliwym mrowiem hord pieszych i konnych.

Fragment reportażu Eugeniusza Korwin-Małowickiego, *Z wycieczki na front*, „Rzeczpospolita”, 1920 r., nr 73, wydanie wieczorne

żołnierzy na dalekim Murmaniu, Archangielsku i nad Dźwiną Północną (1918-1919). To przypomnienie dramatu przebijania się polskiej dywizji przez Syberię na Daleki Wschód czy radości z wieści o odzyskaniu niepodległości Polski, świętowanej w okolicach koła podbiegunowego (opowiadanie „Blokhaus pod Syreną”).

Małowicki jako jeden z pierwszych pisarzy zwracał uwagę na groźbę bolszewickiej rewolucji, ostrzegając przed *Antychrystowym Szatanem Dziejów* i *Wielkim Chamem* grożącym Polsce od Wschodu (opowiadanie „Państwo ponurej anegdoty”). Jego najważniejsze dzieło – opowiadanie „Kości na wzgórzu” jest wstrząsającym obrazem barbarzyństwa dokonanego przez żołnierzy Armii Czerwonej na polskiej ziemi. Opowiadania Małowickiego

ukazują żołnierzy w stanach skrajnych – na granicy życia i śmierci („Tam gdzie ostatnia świeci szubienica”). Ale jest też miejsce na wojskowy dowcip (humoreska „Wielka bitwa narodów”) czy ciepłą opowieść o Bałce murmańskiej – polarnym niedźwiedziu przygarniętym przez naszych żołnierzy, który przybył z nimi do Polski. Z twórczości pisarza przebija wielkie umiłowanie Polski oraz głęboka wiara, granicząca z mistycyzmem. Kornel Makuszyński określił jego opowiadania jako *arcyksiążkę i jeden ze spiżowych pomników mowy polskiej*. Tak wspaniale zapowiadający się talent przerwała niestety śmierć Małowickiego w wielu zaledwie 27 lat². Jego twórczość, bardzo popularna w okresie międzywojennym, została w okresie komunizmu całkowicie ocenowana.

Reportaż Eugeniusza Małowickiego „Z wycieczki na front” opublikowany 27 sierpnia 1920 roku w „Rzeczpospolitej” to nie tylko świadectwo historyczne, ale także żywa relacja z pierwszych dni wyzwolenia Północnego Mazowsza spod dwutygodniowej okupacji bolszewickiej. Reportaż ten, świetny literacko, oddaje emocje i nastroje z bliskiego zaplecza wciąż toczącej się niedaleko wojny. Pisany w realiach oczywistej w takim czasie wojennej cenzury, nie wskazuje nazw miast, które odwiedza gen. Haller dowódca Frontu Północnego (miasto P., miasto C. – prawdopodobnie Ciechanów). Tekst reportażu poniżej.

Z wycieczki na front

Rankiem słonecznym i wietrznym wyjeżdżamy na front. Kierunek na Ciechanów – Mławę. Kolumna samojazdów osobowych. Na czele auto dowódcy frontu – Generała Hallera, powiewające dwójbarwną chorągiewką z orłem. Rwiemy naprzód, oczywiście nie z kopyta, lecz ze wszystkich szyn gumowych. Wdzieramy się

² J. Wieliczka-Szarkowa, *Walczył za Polskę, śpiewał dla Polski i umarł z myślą o Polsce*, w: E. Małowicki, *Opowieści z wojny polsko-bolszewickiej 1920 i inne wojenne historie. Opowiadania, publicystyka, poezje*, Kraków 2020, s. 5-8.



General Józef Haller zapoznaje się z sytuacją bojową na froncie, sierpień 1920 (źródło: K. Kaczmarski, W. J. Muszyński, R. Sierchula, General Józef Haller 1873–1960, Warszawa 2017)

po równiej szosie w przestrzeń, niby w olbrzymią sztukę gwałtownie rozdieranego na obie strony płótna. Wzdłuż szosy podwójny szpaler polskich oleandrów, starych, pochyłych wierzb, powykręcanych fantastycznie; niektóre są podobne do potężnych maczug, rosnących z ziemi, o główkach nastroszonych miotłami narości zielono-srebrnych. Są i suche wierzy. W tych, wedle podań ludowych, kochają się chętnie djabły. Sądzę, że kochali się w nich i bolszewicy, którzy przed kilkoma jeszcze dniami tłoczyli się po tej szosie ciżbą zbójceckich taborów i rozłażliwym mrowiem hord pieszych i konnych.

Mijamy miasteczka, położone przy szosie, typowe miściny tamtych stron, luźnie kupy domków rozrzucone wedle naturalnej bezplanowości. W każdym obejściu nieodzowna wygodka sklecona z desek, dodaje fizjonomii

miasteczek coś z nastrojów sielskich, niejako pasiecznych. Ortodoksalna „mniejszość” nasza w przydługich chałatach czarnych wałęsa się po uliczkach niesłychanie brudnych i epileptycznie krętych. Przejeżdżająca kolumna samojazdów wojskowych, sądząc z rozdziawionych dokoła gąb, bywa tu wypadkiem dnia, komentowanym jak bajka o żelaznym wilku.

Panowie korespondenci pism stołecznych, których wiozę autem Wydziału Prasy Inspektoratu A. [rmii] O. [chotniczej], poczynają już niecierpliwić na dobre. Wiedzą, że w tych okolicach toczyły się przed paru dniami walki, tymczasem nie znać tego zupełnie.

– Kpiny, czy co, u licha? Na front jechaliśmy przecie. Gdzież więc jest ten front? Daj nam zaraz front, poruczniku, bo nie damy panu wódki! – zagnębia się prasa.

Chociaż wiem, że u dziennikarza na froncie całkiem naturalnymi są ponure instynkty hygieny, wyjącej wielkim głosem o ścierwo, tem nie mniej robi mi się niewyraźnie. Czuję przed tymi panami coś w rodzaju wstydu, jakbym to ja sprawił im ten zawód i błagam Opatrzność, aby coprędzej zesłała nam cokolwiek ku nasyceniu hygienowości dziennikarskiej.

Wtem – o, szczęście! widzimy rzecz upragnioną i korenspondeckiemu oku na froncie wielce miłą. W rowie przydrożnym leży koń, zdechły koń... A może nawet zabity koń, kto wie?... w każdym razie koń bohaterski, nie żadna zaś miejska szkapa, bo poległ na wojnie.

– Niech żyje zdechły koń! – woła prasowe bractwo, salutując po wojskowemu. Dziennikarz na froncie to największy wojskowy z całej armji.

Sięgają po grube notesy do kieszeni i z wytrzymałością fachowców coś notują o bohaterskim koniu. Ja również. Widocznie tak potrzeba.

– Początkujący jestem literat, ale się wam nie dam, moi panowie! Uruczycie czytelników zdechłym koniem – i jak też! – myślę sobie z niemąłą satysfakcją autorską.

*

Zatrzymujemy się w miasteczku P*. Nasz Generał wstępuje do sztabu tam kwaterującego, aby odebrać raport operacyjny. Zbiera się kupa mieszczan i chłopów. Dużo dzieci – zamorusane, pękate, w koszulinkach jednych, na bosaka, zwyczajnie, jak dzieci polskiego ludu. Panowie z prasy nurkują w tłumie i robią wywiady.

Dowiadują się o jednym z obecnych obywateli, że przed najściem bolszewików był do nich usposobiony raczej dobrze, niż źle.

– Takie same ludzie, jak drugie, a może i lepsze! – powiedział zanim przyszli. „Ludzie lepsze” zabrali mu co miał, poturbowawszy go przy

tym dotkliwie. Zawieram z nim znajomość, pytam co sądzi o bolszewikach.

– O tych złodziejach!?! – łypie oczami nie-nawistnie. – Do skonania im krzywdy swojej nie daruję. Bo proszę ja pana oficera: moja krowa – jego krowa, moje łóżko – jego łóżko, moja baba – jego baba. Ale dzięki Panu Bogu i panu Hallerowi poszli se już na złamanie karku. Da Bóg nie wróć!

Gospodarza tego od sympatji bolszewickich uleczyli sami bolszewicy. Kosztowna to propaganda antybolszewicka, ale bodaj, że najskuteczniejsza.

Za chwilę jesteśmy znów w drodze, mijamy kompanję piechoty zdążającą do pierwszej linii. Maszeruje ze śpiewem rozgłośnem:
Uciekł nam bolszewik w proso, w proso,
A my za nim nieboracy boso, boso.

Istotnie niektórzy ze śpiewaków, aczkolwiek w hełmach i w zupełnym są rynsztunku, nie wiem dla jakich powodów, wybijają po szosie siarczyście takt na bosaka. Piosenka przez to zyskuje na aktualności, lecz żołnierz w hełmie, a boso, wygląda bardzo nijako.

Wjeżdżamy w pas bliższy do terenu bezpośrednich działań wojennych. Świadczy o tem coraz szczelniejsze ugrupowanie wojska. Zdarzy się tu i armata bolszewicka, zepchnięta z szosy na ściernisko polne. Leży do góry kołami, których szprychy są połamane. Potrzaskał ją widocznie polski pocisk. Żelazne cielsko ma poszarpane i wygląda wstrętnie, jak poniewierający się trup. Nie brak i trupów ludzkich. Leży jakiś bolszewik, którego nie zdążono jeszcze pogrzebać. Ręce ma podwinięte pod ciało, twarz przywarta do ścierniska. Wygląda, jakby leżąc żarł truchłym gęby tej ziemię, na której podbój wyruszył skądś może aż z za Uralu. Nie brak i mogiłek polskich. Jedna i druga, trzecia i dziesiąta. Świeżo poruszona ziemia, a na niej nieuwiedle jeszcze kwiaty. Krzyże wystrugane z surowej sośniny, która popłakała się długimi

kroplami żywicy. Na niektórych – żołnierskie rogatywki z biało-czerwoną kokardką ochotniczą... Najstarszy cmentarz nie porusza tyłu myśli, ile wzbudzą te nieogrodzone, świeże usypiska ziemi pulchniące się nad ciałami pogrzebanych ochotników.

A otóż i C*. Powiatowe miasteczko, węzeł dróg kolejowych. Przechodziło podczas ostatnich walk parokrotnie z rąk do rąk. Kilka domów na skraju miasta zburzonych od kano-nady, tworzy bezładne kupy rumowisk. W niektórych domostwach i sklepach ślad po kulce na szybach okien przedziurawionych srebrzy się, niby widmo cudacznych pajaków. Na stacji kolejowej pociąg z transportem ogromnej zdobyczy wojennej. Oglądamy, między innymi, dziewięć nietkniętych armat z amunicją i zaprzęgiem, 10.000 karabinów ręcznych, siła taborów i koni. Wszystko zdobyczne.

W składnicy przy rampie tymczasowe locum dla rannych, którzy oczekują na pociąg sanitarny, mający ich odwieźć do szpitali urządzonych należycie. Tymczasem leżą na słomie, zaścielonej płaszczami i czem się da. Obok – wagon sanitarny Amerykańskiego Czerwonego Krzyża Nr 2. Karmi, dogląda, opatruje i rżnie na kawałki naszych chłopaków. Bóg zapłać mu za to!

Generał Haller odwiedza rannych. Po kolei z każdym bez wyjątku zamieni kilka słów, tchnących ojcowską wprost troską o tego żołnierzyka, leżącego na słomie. Większość rannych w tem zgromadzeniu pochodzi z kompanji Górnośląskiej, włączonej do jednego z naszych pułków ochotniczych. Liczyła 120 chłopów na schwał. W brawurowym ataku na Przasnysz odznaczyła się lecz i ucierpiała szczególnie. Całych i żywych pozostało zaledwie dwudziestu sześciu. Generał mówi im o ostatnich wypadkach na Górnym Śląsku, wtedy ujrzałem to, czego rychło się nie zapomina. Ten małomówny, nie potrafiący wysłowić się po polsku lud przymykał na wieść o swej ziemi oczy i policzkiem

zmizerowanym toczyła się wstydliva, uszczęśliwiona łza. Leżeli ci ludzie, od ran niemocni, na słomianej mierzwie u naszych stóp, lecz nam wyrosli w tej chwili na całą wysokość swego majestatu.

*

Zbliża się wieczór, czas w drogę powrotną. Dwójszpaler starych wierzby przy szosie maleje i ginie w oddali przed nami. Wracamy do Warszawy. Co chwilę się spotyka na drodze stada krów i owiec, pędzonych w stronę frontu. Jadą drabinki folwarczne, na przedzie bryczuszka w spaste koniki zaprzężona. To ziemiaństwo powraca do swych zrujnowanych i spalonych gniazd. W mgłę zmierzchu widnieją już rozstrzelone światła Warszawy. Dolata do uszu daleki, wielki szum olbrzymiego miasta, które wojna nie dotknęła swą żagwią niszczącą. Więc ludzie żyją w niem tak, jakby żadnej wojny na świecie, ani w Polsce nie było.

Pomyślałem o tem i nagle mię olśniło przeświadczenie, jakim zaiste godnym czci najwyższej, wprost świętym patronem dla tych ludzi powracających do swych siedzib i dla tych miast żyjących, jakby żadnej wojny na świecie nie było, – jest każda dusza żołnierska od tych mogił, co leżą wzdłuż szosy, od tych krzyżów z białej sośniny płaczących żywicą i nakrytych rogatywkami z biało-czerwoną kokardą ochotniczą. I że najlepszym z synów Polski jest dziś ten, który w majestacie swej nędzy wspaniałej, błądy po utracie krwi, leży u stóp ludzi zdrowych na mierzwie słomianej. I płacze ze szczęścia na wieść o swej ziemi górnośląskiej, że powstała i walczy na równi z całą Polską o swoje prawa najświętsze, o byt niepodległy i żywot szczęśny³.

Opracowanie:

Jacek Woźniak, Leszek Pszczołkowski.

Zachowano pisownię oryginału.

³ E. Korwin-Małowicki, *Z wycieczki na front*, „Rzeczpospolita”, 1920 r., nr 73, wydanie wieczorne.

Ciechanowscy seniorzy wspominają...

Od wieków wiadomo, że o życiu człowieka decyduje los. Gdybym urodził się co najmniej pół wieku później i w innym miejscu, moje życie potoczyłoby się na pewno inaczej – twierdzi przekornie pan **Zdzisław Piotrowski**, nietuzinkowa postać ciechanowskiego sportu, współtwórca sekcji podnoszenia ciężarów w Mazovii Ciechanów i jej pierwszy trener. Wychowawca wielu znanych (nie tylko w Polsce) zawodników, kopalnia wiedzy o polskich i ciechanowskich ciężarach. Kolekcjoner broni białej, książek, pucharów i pamiątkowych medali. Dziś, będąc już na emeryturze, jest nadal aktywny społecznie.



Przyszedłem na świat 27 kwietnia 1938 roku. Data ta niczym wyjątkowym ani w historii, ani w sporcie się nie wyróżniła. Natomiast sam kwiecień tegoż roku zaznaczył się niechlubnym zdarzeniem – aneksją Austrii przez hitlerowskie Niemcy.

Urodziłem się w Ciechanowie na Podzamczu, na obecnej ulicy Waryńskiego. Była to dość dziwna dzielnica, o której mówiono „ni to miasto, ni to wieś”. Nie było tu sklepów, szkół, kościoła, natomiast wszyscy hodowali drób, króliki, kozy, a nawet krowy i konie. Naszymi najbliższymi sąsiadami byli państwo Odorowscy, senior rodu, pan Józef, był oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza. Wychowałem się w rodzinie rzemieślniczej; ojciec Stanisław z dwoma swoimi braćmi i moim dziadkiem prowadzili bardzo dobrze prosperującą firmę blacharstwa budowlanego, specjalizującą się m.in. w blacharstwie kościelnym i pałacowym. Mama Janina zajmowała się prowadzeniem domu.

Spokojne i bezpieczne życie naszej rodziny przerwał wybuch II wojny światowej. Od lipca 1939 roku ojciec wraz z dziadkiem i swoimi braćmi pracowali na dachu kościoła w Bogatem

(powiat przasnyski). Gdy prace zbliżały się do końca, na teren przykościelny wtargnęła banda niemieckich zbrodniarzy. Ojciec z braćmi zdołał uciec, lecz dziadek pracujący na dzwonnicy został złapany i zmasakrowany. O jego losach rodzina długo nie miała żadnej wiadomości, mówiono, że został skatowany. Dopiero po trzech latach, na początku maja 1942 roku, siostry zakonne z Przasnysza przywiozły dziadka do Ciechanowa. Wyjaśniły nam, że tego tragicznego dnia zaopiekowały się nim, gdy stracił wzrok, słuch i pamięć. Dzięki opiece zakonnice dziadek odzyskał pamięć, ale dwa lata po odnalezieniu niestety zmarł.

Losy wojenne mojego taty także były tragiczne i mogłyby stać się kanwą dramatycznej



Z mamą i ciocią, ok. 1939 r.



Grupa polskich żołnierzy zebrana wokół karabinu maszynowego Maxim 1910 (prod. rosyjskiej) zakupionego ze składek żołnierzy 13 Pułku Piechoty w Pultusku. Pierwszy z lewej w środkowym rzędzie stoi mój ojciec (z karabinem). Na ten cel moi rodzice ofiarowali dwie złote obrączki i złoty sygnet rzemiosła. Bardzo proszę o kontakt czytelników, którzy rozpoznają na zdjęciu swoich bliskich.

powieści lub filmu. Po wybuchu wojny ojciec został zmobilizowany i skierowany do obrony Twierdzy Modlin. Walczył w jej obronie aż do jej upadku, którego przyczyną był brak amunicji oraz wyżywienia dla żołnierzy. Zmuszeni oni byli wychodzić nocą na pola, żeby szukać ziemniaków i warzyw. W czasie jednego z takich wypadków ojciec został ciężko ranny, a z powodu braku środków sanitarnych rana uległa zakażeniu, wdała się gangrena. Trafił do obozu jenieckiego dla polskich żołnierzy, który Niemcy zorganizowali na boczniczy stacji kolejowej w Działdowie, o czym mama nie wiedziała. Pewnego dnia sąsiadka znalazła przy torach (niedaleko naszego domu, na tzw. Groszu) zawiniątko adresowane do mamy. Była w nim wiadomość od taty: „Jasiu, jestem jeńcem, ciężko rannym, i wiozą nas na północ – szukaj

mnie”. Mama natychmiast zaczęła poszukiwania, wykazując się olbrzymią determinacją i pomysłowością, a nawet sprytem. Spakowała dwa bochenki chleba, jodynę, bandaże, różne maści, maszynkę do golenia, szminkę, puder, nożyczki i oczywiście cywilne ubrania. Wsiadła w pociąg i udała się w kierunku północnym. W Mławie dowiedziała się od kolejarzy, żejechał pociąg z wagonami towarowymi, lecz nie zatrzymał się na stacji i odjechał do Działdowa, gdzie na boczniczy stacji zorganizowany był obóz jeniecki. Niemcy podobno pozwalali tam ludności cywilnej dokarmiać jeńców. Mama pod długim płaszczem miała cywilne ubranie, więc strażnik niczego się nie domyślił i pozwolił jej wejść z tobołkiem wypełnionym chlebem. Po odnalezieniu ojca mama przystąpiła do jego charakteryzacji. Tato został przebrany



Z kolegami z pierwszego składu sekcji podnoszenia ciężarów w Ciechanowie, lata 50. Od lewej: Kazimierz Pielużek, Józef Krzeski, ja, Ireneusz Sokolowski, Alfred Manowski, poniżej Jan Skura oraz sekretarz RW LZS Jerzy Majewski.

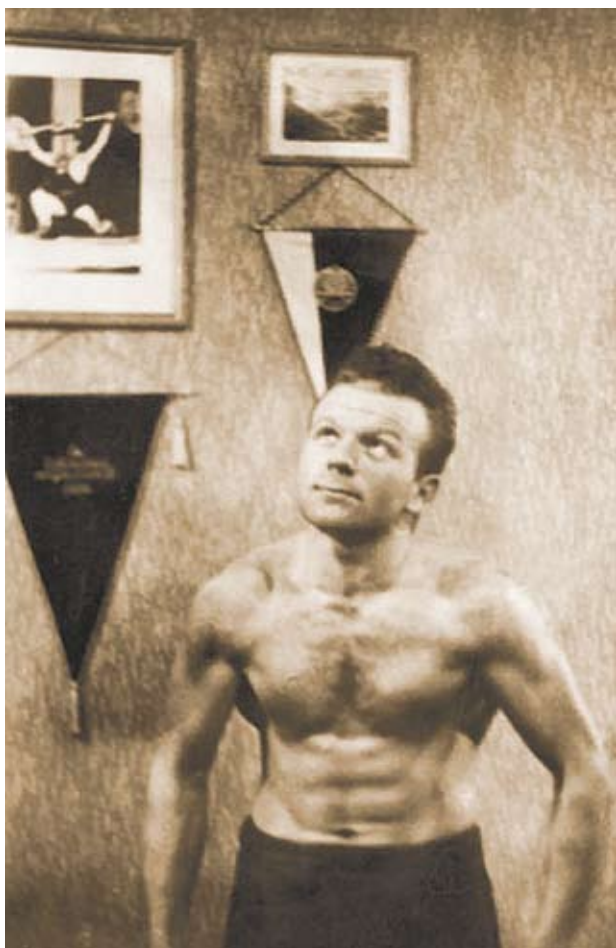
w damskie ubranie, ostrzyżony, ogolony, na policzkach miał nałożony róż i tak przygotowany opuścił z mamą obóz. Po dotarciu do dworca dowiedzieli się, że Niemcy wzmocnili ochronę dworca i pociągów, więc bez przepustki ucieczka ojca się nie uda. Z pomocą przyszedł pewien maszynista (jak się później okazało, działał w ruchu oporu), który doradził ojcu, żeby założył robocze ubranie palacza. Uratowało to tatę przed aresztowaniem, a rodzice bez przeszkód wrócili do domu w Ciechanowie. Niestety, rana postrzałowa okazała się bardzo poważna – mimo starań doktora Auguściaka i innych lekarzy ojciec zmarł, a ja w wieku zaledwie dwóch lat zostałem pólsierotą.

Ważną rolę w moim wojennym dzieciństwie odegrał dziadek ze strony mamy – Stanisław, człowiek z niesamowitym życiorysem, doświadczeniem i wiedzą. Wiąże się z nim bardzo ciekawa historia. Jako mieszkaniec Szczuk koło Krasnego dziadek około 1905 roku brał udział w rozruchach (wg nomenklatury dziadka była to tzw. ruchawka), został aresztowany i wywieziony na Sybir. Ślad po nim zaginął... aż do roku 1912. Pewnego sierpniowego dnia, ku ogromnemu zaskoczeniu rodziny, dziadek podjechał pod dom dorożką i wysiadł, dźwigając pokaźnych rozmiarów kufer podróżny. Okazało się, że wrócił nie z Rosji, ale ze Stanów Zjednoczonych. Przyjechał po rodzinę, mając już

amerykańskie obywatelstwo. Z relacji mojej mamy zapamiętałam tylko niektóre informacje o dziadku, bo on sam był dość skryty. Pierwsze dwa lata na zesłaniu do Rosji przeżył w Workucie, pracując w strasznych warunkach w kopalni. Szychty trwały od ośmiu do dwunastu godzin, wyjeżdżający na powierzchnię górnicy dostawali szklankę samogonu i jednego pieczonego na ognisku ziemniaka. Po dwóch latach Rosjanie wybrali dwustu zesłańców spośród pracujących w kopalni i wywieźli ich na wschód Syberii do pracy w tartaku. Tam część skazańców pracowała przy wyrębie drzew, część w tartaku, a część przy załadunku na wagony. Wertując różne materiały historyczne i prasowe oraz rozmawiając z Sybirakami, dowiedziałem się, że było kilka udanych ucieczek z rosyjskich łagrów, m.in. przez Wyspy Kurylskie do Japonii. Z takiej ucieczki prawdopodobnie skorzystał dziadek Stanisław. Wiem, że w Ameryce pracował w hucie stali w Pittsburghu, a następnie przeniósł się do Detroit, gdzie pracował w walcowni blach w fabryce Forda. Powrót dziadka do



Ireneusz Paliński – mistrz olimpijski, zdobywca złotego medalu na Igrzyskach Olimpijskich 1960 w Rzymie. Najsilniejszy człowiek z Ciechanowa.



Jako zawodnik w pokoju, w którym wówczas ćwiczyliśmy, ok. 1961 r. Za mną na ścianie zdjęcie Ireneusza Palińskiego z Rzymu, naszego idola.

kraju zbiegł się z tragedią największego statku parowego – Titanica, który zatonął 15 kwietnia 1912 roku. Dziadek podobno wracał statkiem Californian, który w czasie tragedii Titanica był zaledwie trzydzieści kilometrów od tonącego parowca. Podobno radiotelegrafista odebrał sygnały SOS nadawane z Titanica i zameldował o tym kapitanowi, który odrzekł, że Titanic jest niezatopialny i nawet Chrystus go nie zatopi. Jak się później okazało, Titanic zderzył się z górą lodową, a jego pierwszy rejs okazał się ostatnim.

W czasie okupacji niemieckiej życie ciechanowian, podobnie jak wszystkich Polaków, było bardzo trudne. Ludzie żyli w ciągłym strachu, byli niedożywieni i zapadali na tyfus czy szkarlatynę. Dziadek Stanisław początkowo pracował w piekarni, a później jako brukarz przy budowie

dróg w powstającej dzielnicy Bloki. Mama sprzątała w biurze niemieckim u zbiegu ulic Kargoszyńskiej i Waryńskiego. Później dojeżdżała do Sokołówka, gdzie była kucharką (zaplecze lotniska). Jako sześciolatek dość często odwiedzałem ją w pracy. Kiedyś przechodziłem koło niemieckiego samochodu zaparkowanego pod rozłożystym grabem. Zostałem zatrzymany przez kierowcę – żołnierza, zawołał do mnie: „Komm, komm!”, podał mi rękę i wciągnął do szoferki. Byłem tak wystraszony, że nie mogłem wydobyć słowa, ale nie płakałem. Jakież było moje zdumienie, gdy żołnierz poczęstował mnie sucharami i twardą marmoladą. Okazało się, że może jeden na milion to dobry Niemiec, nawet w czasie okupacji.

Kolejne moje wspomnienie dotyczy wkraczania armii radzieckiej do Ciechanowa. Doskonale pamiętam 17 stycznia 1945 roku, miałem już prawie siedem lat. Był silny mróz, śnieg skrzypiał pod nogami. Usłyszeliśmy warkot silnika samochodowego, wybiegłem do ogrodzenia i zauważyłem wojskowy samochód typu Dodge. Wyskoczyło z niego kilku żołnierzy, którzy podbiegli do naszego domu i zażądali jedzenia. Zabrali chleb i wiszącą za piecem słoninę. Odjechali szybko w stronę ulicy Kargoszyńskiej. Po kilku minutach zatrzymał się



W towarzystwie uroczych koleżanek: Zosi Drozdowskiej (późniejszej żony Ireneusza Palińskiego) i Niny Krośnickiej (z męża Wyrzykowskiej), lata 60.

następny samochód, z którego wysiadło czterech oficerów i pytali, czy przejeżdżali tędy żołnierze radzieccy. Dziadek powiedział, że tak i że zabrali nam żywność. Oficerowie, jak się okazało, byli enkawudzistami. Wrócili po niedługim czasie i dali nam kilka bochenków chleba.

Następne zdarzenia były o wiele groźniejsze. Pewnej nocy usłyszeliśmy wystrzały i głośny śpiew. Grupa rosyjskich żołdaków kopniakami sforsowała furtkę i zaczęła dobijać się do drzwi. Dziadek wiedział, że jeśli nie otworzy, to zaczną strzelać. Uchylił drzwi, a pijana banda wdarła się do mieszkania, w którym oprócz dziadka (wtedy 60-letniego) była moja mama Janina (30 lat) oraz jej siostry: 24-letnia Zofia i 18-letnia Jadwiga. Ja schowałem się na strychu. Mama i ciotki ukryły się pod pierzynami. Pijani żołnierze kazali im wyjść, a gdy nie posłuchały, jeden z nich chwycił pepeszę i wycelował w łóżko. Stojący obok dziadek



*W roli trenera z utalentowanym sztangistą
Pawłem Rabczewskim.*

podbił ręką lufę pepeszy i seria poszła w sufit. Następnie złapał za rękę ich dowódcę i zaprowadził do jednego z pokojów, mówiąc, że tu na kwaterze mieszka ich kapitan lotnictwa. Pokazał wiszący w szafie galowy mundur z oficerskimi dystynkcjami i medalami. Pijany żołnierz momentalnie otrzeźwiał i cała grupa w pośpiechu opuściła nasz dom. Ten galowy mundur faktycznie należał do oficera radzieckiego, któremu mama, pracująca nadal na lotnisku (także po wkroczeniu Rosjan), wynajęła pokój. Zostawił ten mundur z nadzieją, że wróci po niego po zakończeniu wojny. Zginął jednak pod Berlinem na wzgórzach Seelow, nad Odrą, o czym powiedział nam później jego wracający z wojny ordynans.

Wydarzeniem z tzw. wyzwolenia Ciechanowa był też dla mnie 18 stycznia, który szczególnie utkwił mi w pamięci. Nasz sąsiad – Józef Odorowski – przyszedł do nas i opowiedział, że na dziedzińcu magistratu widział ciała zmasakrowanych polskich więźniów. Dziadek wziął mnie wtedy za rękę i poszliśmy pod magistrat, gdzie pod północną ścianą leżało kilkudziesięciu zabitych Polaków, cywilów więzionych wcześniej w piwnicach magistratu. Rozstrzelano ich tuż przed wyzwoleniem miasta. Podszedł do nas jakiś mężczyzna, który zaprowadził nas do stajni, w której z kolei leżały ciała zmasakrowanych żołnierzy radzieckich. Mimo upływu prawie osiemdziesięciu lat te obrazy mam wciąż przed oczami.

Żołnierzom radzieckim poległym w okolicach Ciechanowa i w samym mieście władze zorganizowały cmentarz na placu Kościuszki. Po kilku latach ekshumowano poległych i przeniesiono na cmentarz. W dołach po mogiłach zostało wiele nabojów do karabinów. Wygrzebywaliśmy je z kolegami, a potem wytapialiśmy z nich ołów i wykorzystywaliśmy jako groty strzał do łuków. Moi koledzy – Renek i Zbyszek Smolińscy oraz Alfred i Waldek Borowscy – byli

starsi ode mnie o 6–8 lat, ja byłem najmłodszy. Wiele naszych zabaw w powojennej rzeczywistości zagrażało naszemu bezpieczeństwu, ale wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Zwyciężała ciekawość i chęć doświadczenia czegoś nowego. Niektóre przygody kończyły się dramatycznie. Pewnego dnia wybrałem się z moim starszym kolegą Zbyskiem do Lasu Lekowskiego. W okopach znaleźliśmy jedenaście granatów obronnych, wróciliśmy do domu z tym niebezpiecznym bagażem i umówiliśmy się, że po obiedzie wykopimy dół na pobliskim polu i zajmiemy się znaleziskiem. Czekałem na swój obiad trochę dłużej niż Zbyszek i to prawdopodobnie ocaliło mi życie. Gdy wychodziłem z domu, usłyszałem potężny huk z pola, na którym mieliśmy rozpaść ognisko i zdetonować granaty. Okazało się, że Zbyszek sam to zrobił. Kiedy dobiegłem, znalazłem go martwego z olbrzymią raną brzucha.

Podobny przypadek lekkomyślności przydarzył się mojemu koledze Waldkowi Borowskiemu. Gdy bawiliśmy się nad stawem przy Kargoszynie, znaleźliśmy raketnicę – pistolet sygnałowy. Był zabłocony, częściowo zardzewiał. Waldek podjął się jego oczyszczenia i wypróbowania, choć nie miał żadnego doświadczenia. Nacisnął spust (cyngiel), raketnica wypaliła i urwała mu trzy palce.

Lata mojej młodości przypadły na okres głębokiej komuny, kiedy o szansach edukacyjnych młodego człowieka przesądzało jego pochodzenie czy historia rodziny. Doświadczyłem tego m.in. wtedy, gdy kończąc szkołę podstawową wraz z kolegami zgłosiliśmy akces do liceum ogólnokształcącego w Ciechanowie. Zostaliśmy odrzuceni i skierowani do zasadniczej szkoły zawodowej. Nie byłem tym zmartwiony, bo dzięki temu mogłem kontynuować rzemieślnicze tradycje mojej rodziny. Swoją edukację w późniejszych latach uzupełniałem dokształcaniem się w zakresie sportowym, związanym



Ze złotym medalistą Igrzysk Paraolimpijskich 1980 w Arnhem (waga lekka) – ciechanowianinem Jerzym Kuskowskim, moim wychowankiem.

z podnoszeniem ciężarów – dyscypliną, którą odkryłem trochę przez przypadek. Pewnego dnia w 1956 roku schroniłem się przed deszczem pod balkonem budynku „Łydyni” na rogu ulic Sienkiewicza i Fabrycznej. Usłyszałem wtedy dziwne dźwięki, jakby rzucanie żelazem o posadzkę. Zaciekawiony, zajrzałem do pomieszczenia, z którego dobiegały odgłosy, i zobaczyłem bardzo dobrze zbudowanych mężczyzn ćwiczących ze sztangami. Zachęcony przez Ireneusza Sokołowskiego (pochodzącego z Ościśłowa), zapisałem się do sekcji podnoszenia ciężarów, która działała wówczas przy Radzie Powiatowej Zrzeszenia Ludowych Zespołów Sportowych. Treningi odbywały się trzy razy w tygodniu po dwie godziny. Salka treningowa znajdowała się na pierwszym piętrze, więc trzeba było szczególnie uważać, żeby nie zarwało się sklepienie nad znajdującym się poniżej sklepem. Czasem z sufitu sypał się tynk i zdarzały się interwencje personelu. Z tego powodu sekcję przeniesiono do pomieszczenia o wymiarach 4 x 4 metry w nieistniejącym już drewnianym baraku LPŻ na ulicy Orylskiej. Salka była na tyle niska, że wyżsi zawodnicy nie mogli ćwiczyć podrzutu.

Przełomowy moment w historii ciechanowskich ciężarów nastąpił w październiku 1958 roku. Za namową ówczesnego sekretarza Rady Wojewódzkiej LZS w Warszawie, Janusza

Przedpełskiego (późniejszego kilkudziesięcioletniego prezesa Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów), do LZS Ciechanów przeniósł się pochodzący z Nużewka Ireneusz Paliński, który miał już za sobą sukcesy w tej dyscyplinie. Miałem w tym przeniesieniu swój skromny udział, gdyż pracując w Radzie Powiatowej LZS w Ciechanowie, miałem bardzo dobre relacje z Januszem Przedpełskim, któremu zależało na pozyskaniu dla naszej sekcji utalentowanego zawodnika. Za zgodą sekretarza RW LZS udałem się na motorze do Łodzi, gdzie z klubem Start Łódź związany był wówczas Ireneusz Paliński. Udało mi się dość łatwo przekonać Ireneusza do powrotu do Ciechanowa – może dlatego, że czuł się oszukany przez władze Łodzi w kwestii otrzymania mieszkania (podobnie jak wcześniej przez władze Wrocławia, gdzie trenował we wrocławskiej Gwardii).

Już w 1959 roku Ireneusz Paliński startował w barwach LZS Ciechanów. Po jego przyjeździe sekcja podnoszenia ciężarów w Ciechanowie zaczęła się gwałtownie rozrastać. Pod koniec lat 50. i na początku 60. Mazowsze było najsilniejszym okręgiem ciężarowym w Polsce. Wydeptywałem przysłowiową ścieżkę do władz Ciechanowa, żeby zdobyć mieszkanie dla naszego najlepszego zawodnika, który na treningi musiał dojeżdżać rowerem z Nużewka i czasami nocował u mnie w mieszkaniu na ulicy Wandy Wasilewskiej. W 1959 roku Ireneusz Paliński zdobył srebrny medal na mistrzostwach świata w Warszawie, a w 1960 roku na Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie zdobył tytuł mistrza olimpijskiego – pierwszy złoty medal w historii polskich ciężarów. Jednocześnie pobił rekord świata w podrzucie (180 kg). Po powrocie z Włoch



Wśród kolegów na Memoriale PC im. Ireneusza Palińskiego w Ciechanowie, 2018 r. Obok mnie były sztangista Robert Skolimowski, ojciec znakomitej lekkoatletki Kamili, pierwszy z lewej Jacek Chruściewicz, wieloletni trener kadry juniorów i seniorów, drugi z lewej Mirosław Żebrowski, były członek kadry narodowej.

na ciechanowskim stadionie Palińskiego powitał entuzjastycznie tłum kibiców. W tym czasie rozpoczęła się budowa dużego budynku komunalnego u zbiegu ulic 17 Stycznia i Narutowicza. Zwróciłem się z kolejną prośbą do przewodniczącego Rady Narodowej Kazimierza Chrostowskiego o przyznanie mieszkania Ireneuszowi. Po wielu prośbach dostałem obietnicę mieszkania M4 lub M3 – po tym zapewnieniu mistrz olimpijski odrzucił ofertę szwedzkiego związku podnoszenia ciężarów. Jednak po oddaniu budynku do użytku okazało się, że zamiast M4 mistrz może otrzymać kawalerkę na czwartym piętrze. Zawiedziony Ireneusz w 1966 roku przeniósł się do Wisły Płock, gdzie podjął pracę jako trener.

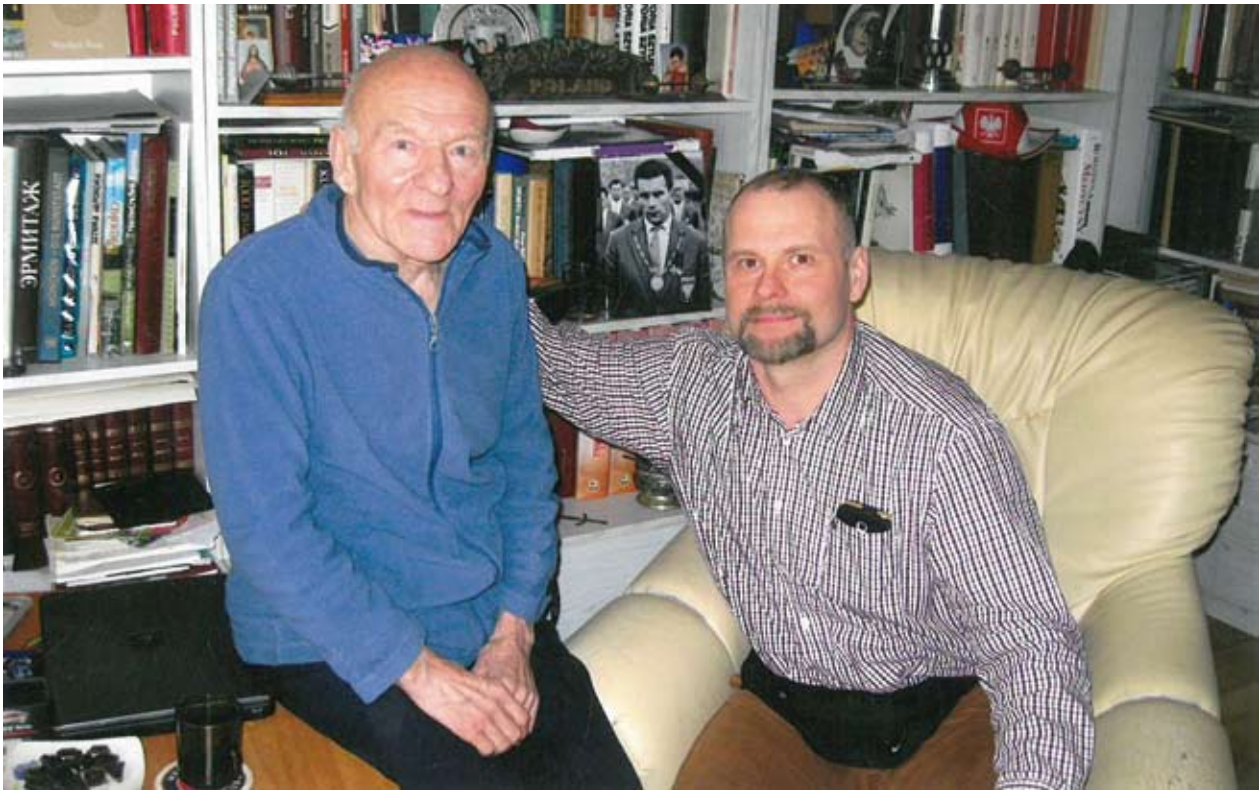
Nasza sekcja podnoszenia ciężarów nadal nie miała odpowiedniej sali do ćwiczeń. Z baru na Orylskiej trafiliśmy (dzięki przychyłności dyrektora Łyzińskiego i magistra Hikierta) na zaplecze liceum ogólnokształcącego przy ulicy Kopernika. Po roku przyjął nas pod swój dach kierownik Wojciechowski do nowo wybudowanej szkoły przy ulicy 17 Stycznia. Stamtąd także po roku musieliśmy odejść. Sekcji groziła likwidacja, ale w ostatniej chwili treningi zostały przeniesione do biura Rady Powiatowej LZS (4 x 5 metrów) przy Rynku. W związku z tak dużymi trudnościami czyniłem starania o wybudowanie nowej siłowni, co udało się wreszcie w 1967 roku. Powstała w rekordowym czasie ośmiu miesięcy, wybudowano także dwa małe hoteliki. Dobre warunki lokalowe naszej sekcji oraz doskonała kuchnia w pobliskim barze Ptyś, której szefową była pani Daniszewska (mama mistrza centralnej spartakiady Waldka Daniszewskiego), spowodowały znaczący przyływ zawodników spoza Ciechanowa, m.in. Pawła Rabczewskiego, Henryka Trębickiego, Eugeniusza Palki, Krzysztofa Turczaka, Marka Sachmacińskiego, Andrzeja Seligi, Waldemara Mikulskiego czy Pawła Kasperowicza.



Złoty Medal za zasługi dla Polskiego Ruchu Olimpijskiego.

Muszę wspomnieć także o sekcji paraolimpijczyków, w której trenowali Tomasz Tański oraz mistrz paraolimpiady, rekordzista świata Jerzy Kuskowski. Mazovia Ciechanów w „złoty latach polskiej sztangi” szczyliła się wieloma sukcesami. Oprócz Ireneusza Palińskiego medale zdobywało wielu zawodników, m.in. Janusz Borzyński ustanowił rekord świata juniorów, a jego młodszy brat Zdzisław odnosił liczne sukcesy w spotkaniach międzynarodowych. Dla mnie jako szkoleniowca, trenera i działacza sportowego był to powód do dumy oraz satysfakcji. Cieszę się też, że sukcesem zakończyły się moje starania o budowę nowoczesnej siłowni wraz z hotelem (1985).

Z przykrością wspominam jednak próby przebudowy siłowni na potrzeby piłki ręcznej, a nawet zmiany przeznaczenia na halę targową, w sytuacji gdy obiekt był już prawie gotowy.



Z Adamem Palińskim, synem Ireneusza, u mnie w mieszkaniu.

Wszystko to próbowano załatwić poza mną, nie byłem nawet informowany o tych działaniach przez władze lokalne. Udało mi się to skutecznie zablokować dzięki prezesowi PZPC Januszowi Przedpełskiemu oraz kierownikowi działu sportu z Rady Głównej LZS panu Snopińskiemu.

Również w klubie zaczęto mi rzucać kłody pod nogi. Próbowano podważać moje kompetencje. Głównym zarzutem był fakt, że nie uczęszczam na pochody pierwszomajowe, a 22 lipca urządzam treningi oraz że utrzymuję kontakty z byłymi zawodnikami, którzy zostali na Zachodzie. Taki paszkwil (jestem w jego posiadaniu) przesłano do pierwszego sekretarza KW PZPR w Ciechanowie. Po odejściu z ciechanowskiej Mazovii zostałem trenerem Koordynatorem Rady Głównej LZS w Warszawie (1983–1990). Moje życie zawodowe związane przez kilkadziesiąt lat z podnoszeniem ciężarów stwarzało potrzebę zdobywania nowych kwalifikacji i uprawnień. Były to m.in.: ukończenie kursu instruktorskiego podnoszenia ciężarów

(1958), zdobycie stopnia sędziego okręgowego, ukończenie kursu masażysty sportowego oraz trenera kulturystyki i ćwiczeń siłowych (1960), a także sternika motorowodnego. W latach 1966–1967 na AWF Wrocław uzyskałem stopień trenera podnoszenia ciężarów II klasy. W 1979 roku otrzymałem nominację na trenera klasy mistrzowskiej. Jestem także sędzią pierwszej klasy międzynarodowej.

Moim niespełnionym marzeniem jest utworzenie w Ciechanowie Klubu Olimpijczyka, który byłby miejscem spotkań i rozmów nie tylko o sporcie, wśród ciekawych pamiątek z najlepszych czasów podnoszenia ciężarów w Polsce. W moim przekonaniu pamięć o lokalnych sportowcach zasługuje na ocalenie – to przecież ważna część historii naszego miasta.

Zainteresowanych szczegółami moich wspomnień zapraszam do kontaktu za pośrednictwem redakcji „Bram Powiatu”.

*Wspomnień wysłuchała
Ewa Gładysz*

VINCTIS NON VICTIS

Pokonanym nie zwyciężonym

*Walka beznadziejna, walka o sprawę z góry przegraną
bynajmniej nie jest poczynaniem bez sensu.*

*Wartość walki tkwi nie w szansach zwycięstwa sprawy,
w imię której się ją podjęło, ale w wielkości tej sprawy.*

Henryk Elzenberg¹

Wędrówka śladami przodków jest odkrywaniem tajemnicy i zbliżaniem się do tych, którzy odeszli, ale nadal w nas żyją. Dzięki poszukiwaniom przywracamy ich naszej pamięci, przywołujemy do życia, a czasom w którym wiedli swój ziemski żywot pozwalamy ożyć. Nagrodą za nasz wysiłek i dociekliwość jest lekcją historii, która staje się dla nas czymś bliskim i konkretnym. Wydarzenia, które chcę przywołać i ożywić, miały miejsce w upalne lato roku 1863, drugiego sierpnia w majątku mojego prapradziadka po kądzieli Adama Sylwestra Smoleńskiego i jego małżonki Karoliny z Janowskich w Długoleńce Wielkiej w pow. przasnyskim i woj. płockim (obecnie gmina Opinogóra Górna, pow. ciechanowski). Historię tę opowiedział mi Tadeusz Butler w 2011 r., a kilka lat później odnalazł ją opisaną z detalami Adam Lubczyński w pamiętniku Mieczysława Suwińskiego.

Powstanie Styczniowe, bo o nim mowa, było największym, najdłuższym zrywem niepodległościowym, ale również i najbardziej dramatycznym w dziejach naszego narodu. Wybuchło w wielce niekorzystnym momencie. Spiskowcy nie zdążyli z przygotowaniami. Mimo to, porwało ono do walki zrywem młodzieńczego zapалу około 200 tysięcy żołnierzy i konspiratorów. Północne Mazowsze jak zawsze licznie stawiało się do partii powstańczych, w tym



*Roman Żuliński, matematyk, twórca poczty
powstańczej, stracony; domena publiczna*

ówczesny pow. przasnyski złożył dużą daninę krwi. Zanim przysłała noc z 22 na 23 stycznia 1863 r. musiało dojść do serii wydarzeń, które sprawiły że społeczeństwo chociaż po części było gotowe na kolejne wyrzeczenia i represje.

Mieszkańcy Królestwa Polskiego doskonale zdawali sobie sprawę z zapatrywań cara na niepodległość Polski (...dlatego raz jeszcze powtarzam to wam, żadnych marzeń, żadnych marzeń panowie!...) ² ale mieli już dość kilkudziesięciu lat ucisku i coraz odważniej dawali

¹ Henryk Elzenberg – polski filozof, aforysta. Mistrz i nauczyciel Zbigniewa Herberta.

² „żadnych marzeń, żadnych marzeń panowie!” - słowa wypowiedziane przez cara Aleksandra II Romanowa w Warszawie 22 maja 1856 r.



Córki Smoleńskich w żałobie narodowej. Stoi Florentyna Fużewska, siedzi Ksawera Katarzyna Ślesicka. Czarne korale noszono w dwojaki sposób: albo okręcano je wokół szyi, albo robiono pętlę wisielczą. Duża część kobiet pozostała wierna żałobie do 1918 r.

temu wyraz w licznych manifestacjach, które często kończyły się starciami z policją carską i wojskiem oraz śmiercią wielu manifestantów. Odpowiedzią na pacyfikację pokojowych protestów był okólnik, którego autorstwo przypisuje się arcybiskupowi warszawskiemu Antoniemu Fijałkowskiemu, zalecający Polakom przywdziać żałobę: *Wszystkie części odwiecznej Polski przywdziewają na czas nieograniczony przyzwoitą żałobę; Kobiety tylko w dzień ślubu białą suknię. (...) Dziś i od lat wielu godłem naszym jest cierniowa Korona (...). Po 30 latach ponownie stał się aktualny wiersz Konstantego Gaszyńskiego, napisany po upadku Powstania Listopadowego: Schowaj, matko, suknie moje/ perły, wieńce z róż:/ jasne szaty, świetne stroje,/*

to nie dla mnie już!/ Niegdyś jam stroje, różę lubiła, gdy nam nadziei wytryskał źródój;/ Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,/ jeden mi tylko przystoi strój:/ Czarna sukienka!.

Wydarzenia w Warszawie nie pozostawały bez echa na Północnym Mazowszu. Już na początku marca 1861 r. w wielu miastach, miasteczkach i parafiach wiejskich odbywały się nabożeństwa i manifestacje religijno–narodowe. Z dokumentów władz rosyjskich wynika, że podczas nabożeństw śpiewano *pieśni zakazane* i wygłaszano *podburzające kazania*. Władze carskie szczególnie irytowała pieśń *Boże coś Polskę*, wówczas traktowana jako polski hymn narodowy. Wyrosła ona z hymnu Alojzego Felińskiego napisanego na cześć cara i króla Królestwa Polskiego [sic!] Aleksandra I „Boże zachowaj Króla” w 1816 r. Pierwotnie w refrenie były słowa „Naszego króla zachowaj nam Panie!”, ale już w następnym roku nieoficjalnie zaczęto śpiewać *Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie* i tak już będzie przez lata. Moskali bardzo drażnił masowy śpiew pieśni, ale musieli się też bać, bo w 1862 r. wydali zakaz jej śpiewania. Rok później stała się hymnem Powstania Styczniowego i już zawsze towarzyszyła Polakom w trudnych chwilach zniewolenia narodu w XIX i XX wieku. W okresie Powstania Styczniowego zostaje przełożona na inne języki i nie jest to tylko język rosyjski.



Druga z lewej Karolina z Janowskich Smoleńska u schyłku życia z córką Bronisławą Skowrońską i jej rodziną, Regimin 1902



Franciszek Pajewski,
Powstaniec

Wieść o żałobie narodowej dotarła również do pow. przasnyskiego, do którego wówczas należał Ciechanów. Kobiety w czerni i skromnym uciesaniu pojawiły się na naszych ulicach i w kościołach. Policja carska w całym Królestwie bezwzględnie walczyła z buntującymi się Polakami. Aresztowania nie ominęły również mieszkańców naszego powiatu. Wyrokiem sądu z listopada 1861 r. skazano na przesiedlenie do Petrozawodska w guberni ołonieckiej ks. Ignacego Kamieńskiego z Gruduska, który - jak podaje raport żandarmerii: *15 lipca 1861 r. wyszedł naprzeciw procesji, w której niesiono „rewolucyjne” sztandary, następnie przewodniczył tej procesji, wszędzie pomawiał ludność, aby śpiewała przeciw rosyjskiemu rządowi, oraz augustianina Adriana Oszczygło z Ciechanowa za inicjowanie śpiewów patriotycznych. Dzięki wstawiennictwu arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego ks. Kamieńskiego ułaskawiono 8 marca 1862 r. z okazji rocznicy wstąpienia cara na tron, a ojca Oszczygło 29 kwietnia 1862 r. z okazji urodzin cara. Nieustające przepychanki z Polakami w całym Królestwie stawały się coraz bardziej kłopotliwe dla zaborcy. Codzienne manifestacje w jakimś zakątku Królestwa, nabożeństwa w kościołach, znienawidzone śpiewy patriotyczne, wszechobecna żałoba na ulicach i to dumne podnoszenie głowy Polaków. To już było za wiele. 14 października 1861 r. na terenie Królestwa wprowadzono stan wojenny. Polakom w tej sytuacji pozostała tylko jedna droga – konspiracja. I w taki oto sposób zaczęło rodzić się*

Tajemne Państwo Polskie. Pierwsze w naszej historii, ale nie ostatnie.

Stan zagrożenia i rozczarowanie polityką caratu zmusiło Centralny Komitet Narodowy do intensywnych przygotowań Powstania na terenie całego zaboru. Najwcześniejszym zakładanym terminem był maj 1863 r. Jego wcześniejszy wybuch został wymuszony przez „brankę”, czyli pobór do carskiej armii na 15-25 lat. Tym razem miał on charakter proskrypcyjny, a nie jak zawsze losowy. Margrabia Aleksander Wielopolski - znienawidzony przez znaczną część polskiego społeczeństwa kierownik rządu cywilnego zadbał, aby na listach poborowych znalazła się przede wszystkim młodzież politycznie podejrzana. Decyzję podjęto przed północą 14 stycznia 1863 r. na Zamku, a akcję rozpoczęto po godzinie 0.30. Na dwa tysiące proskrybowanych w Warszawie wcielono do armii zaledwie 559 osób, ponieważ dzięki pomocy Centralnego Komitetu Narodowego większość zaangażowanej młodzieży wcześniej opuściła domy. Cel branki był oczywisty: rozbić



Franciszek Szymon Pajewski, Powstaniec



Herb rodziny Smoleńskich – Zagłoba

niepodległościową konspirację i tym samym udaremnić powstanie. *Wrzód zebrał i rozciąć go należy* głosił Wielopolski. Spiskowcy stanęli przed koniecznością szybkiego ustalenia terminu powstania, pomimo że zdawali sobie sprawę z militarnej siły przeciwnika. ... czy możemy zwlekać, czy jesteśmy w mocy zatrzymać powstanie? Jeżeli te barbarzyńskie łowy rozpoczną się, my może wszyscy zginiemy, ale powstanie z pewnością wybuchnie, pisał naczelnik wojskowy woj. plockiego Zygmunt Padlewski.

Termin wybuchu Powstania wyznaczono na noc z 22 na 23 stycznia, aby uprzedzić pobór w miastach na prowincji, mający odbyć się 25 stycznia. Z pow. przasnyskiego na listach znalazły się m.in. 24 osoby z Przasnysza, 10 z Ciechanowa, 12 z Ojrzenia i 9 z Gruduska. Noc z 22 na 23 stycznia (z czwartku na piątek) 1863 r. była bardzo ciemna i padał rześisty deszcz. 30 minut po północy z wieży katedralnej w Płocku rozległy się dzwony dające

sygnał do wybuchu Powstania, po pewnym czasie rozległy się dzwony z innych kościołów w mieście. (Dla Powstańców wychowanych na literaturze romantycznej były to zapewne dzwony zmartwychwstania z „Kordiana” Juliusza Słowackiego: *a kiedyś uderzymy w zmartwychwstania dzwony*). Powstanie stało się faktem! Podstawowym planem w dniu wybuchu było zdobycie Płocka oraz garnizonów w Pułtusk, Przasnyszu, Makowie i Płońsku. Plan nie powiódł się. Na taki rozwój wypadków złożyło się wiele elementów. Podstawowym był niedostatek kadry oficerskiej znającej rzemiosło wojenne, brak wyćwiczenia powstańców oraz słabe uzbrojenie. Na początku Powstania powszechną bronią w piechocie była kosa kuta na sztorc. Kuto je i w Ciechanowie, w kuźni kowala Jana Półkośnika, stojącej przy drodze na Przasnysz, nieopodal dzisiejszych koszar. Dzięki staraniom rodzin Tomczaków, Kolankiewiczów i Ujazdowskich kuto kosy i piki w pobliskim Ujazdowie, ukrytym wówczas w lasach.

Kosa uważana była za broń biednych i desperowanych, a mimo to w czasie Powstania cieszyła się szacunkiem u każdej ze stron konfliktu. Na wyposażeniu Powstańców była również broń palna, którą sprowadzano z zagranicy, niestety z różnym skutkiem. Pomimo militarnej przewagi przeciwnika (w szczytowym momencie walki pod bronią było 300 tysięcy żołnierzy carskich przeciwko 30 tysiącom słabo uzbrojonym polskim spiskowcom) Powstanie tłumione było prawie 2 lata,



Marian Butler - teść Sabiny Smoleńskiej, zesłaniec

choć margrabia Wielopolski zapewniał: *Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić*. Zapleczem dla tej nieregularnej, szarpanej wojny była prowincja, która dostarczała nie tylko chłopców do partii powstańczych, ale żywiła, ubierała i dawała schronienie. Istniał też inny powód, który sprawił, że Powstanie cieszyło się dużym wsparciem społeczeństwa - było to Tajemne Państwo Polskie z Tymczasowym Rządem Narodowym na czele, który 10 maja 1863 r. ogłosił się Rządem Narodowym. Atrybutem władzy powstańczej była pieczęć rządowa. W dniu wybuchu Powstania rząd wydał Manifest, w którym wzywał do walki z caratem, głosił uwłaszczenie chłopów, właścicielom ziemskim obiecał odszkodowania ze skarbu państwa za poniesione straty, a bezrolnym dawał ziemię (3 morgi) z gruntu dóbr narodowych.

Państwo, które funkcjonowało w podziemiu, posiadało własną administrację rządową odpowiadającą m.in. za pobór podatków na rzecz Powstania oraz wydawanie prasy podziemnej. Powołano też powstańczy wymiar sprawiedliwości. Wyroki wykonywały specjalne grupy egzekucyjne. W terenie robiły to Lotne Oddziały Żandarmerii, nazywane przez Moskali złośliwie Żandarmerią wieszającą. Pierwsze takie oddziały w Królestwie Polskim powstały w woj. płockim w kwietniu 1863 r. Piąty Oddział Żandarmerii stanowili Sztyletnicy, najbardziej zakonspirowana jednostka policji. Rząd utworzył również pocztę powstańczą, do której należeli prawie wszyscy poczmistrze w kraju. Pod koniec 1863 r. w woj. płockim istniało 239 stacji, 6 szlaków głównych i 16 pobocznych. Zakłada się, że w Królestwie w czasie Powstania funkcjonowało około 1300 stacji pocztowych. Dyrektorem i twórcą tajnej poczty był matematyk Roman Żuliński, a twórcą koncepcji tajemnego państwa Agaton Giller.

„Poczta obywatelska” stanowiła podstawę tereno-
wej sieci łączności. Jej działacze byli urzędnikami Rządu Narodowego, obowiązywało ich ściśle przestrzeganie tajemnic organizacji. Adresy przesyłek odpowiednio kodowano. Województwo



Mieczysław Suwiński,
autor pamiętnika

oznaczano dużymi literami alfabetu łacińskiego, a stacje pocztowe cyframi arabskimi. Poczta zajmowała się nie tylko przesyłkami, ale również siecią wywiadowczą, służącą państwu podziemnemu oraz oddziałom leśnym. O sprawnym działaniu poczty powstańczej wyrażał się z uznaniem rosyjski historyk Powstania Styczniowego Nikołaj Berg: *polecenia tajnego rządu polskiego w Warszawie szybciej docierają do odległych miejscowości i oddziałów partyzanckich w lasach niż rozkazy sztabu armii carskiej wysyłane do poszczególnych zgrupowań i garnizonów*. Prawdopodobnie taka stacja pocztowa lub punkt kontaktowy był we dworze prapradziadka Smoleńskiego. Niestety, w grudniu 1863 r. wróg przechwycił mapy komunikacyjne woj. płockiego. W oparciu o rozszyfrowany system nakazano zarekwirować konie pocztowe, aresztować powstańczych pocztylionów, a na wszystkie wykryte punkty nałożono karę grzywny od 100 do 500 rubli.

Prapradziadek Adam Sylwester Smoleński vel Smoliński (1827-1898) w sierpniu 1863 r. mieszkał w Długoleśce Wielkiej z 4 córkami i brzemioną żoną Karoliną z Janowskich. Był właścicielem 1/3 wsi (73,5 morgi). Jak pisał w pamiętniku *Rodowód i droga mojego życia* Mieczysław Suwiński (wnuk drugiej



Paluki; trzeci z kolei nagrobek prapradziadka; umarł jako Smoleński, a po śmierci został Smolińskim

córki Adama i Karoliny, Katarzyny Konstancji, 1851–1931): dom Smoleńskich był zamożny i stateczny, cieszył się w okolicy poważaniem i znany był ze swego patriotyzmu. Powstańcy przebywający w okolicznych lasach często zachodzili do domu Smoleńskich, oddalonego od większości zabudowań wiejskich. Dworek stanowił zaplecze dla oddziałów leśnych i administracji rządowej.

Na podstawie opowiadań babci Katarzyny Kołakowskiej tak opisuje pobyt Powstańców w majątku kronikarz rodzinny: *W przypadku zjawienia się ich w zagrodzie (zawsze nocą) należało wojaków nakarmić i dać pewną porcję żywności do lasu. W takim przypadku, jeśli nie było mięsa w zapasie, zabijano owcę i świeże jej mięso wraz z kaszą, mąką i tłuszczem nieśli Powstańcy do swej leśnej bazy. Chłopcy z partii powstańczych zachodzili nocą, natomiast emisariusze rządowi zazwyczaj nawiedzali dom*

Smoleńskich za dnia. W niedzielę 2 sierpnia 1863 r. dwóch wysłanników zajechało do majątku, przywożąc pisma i odezwy. Nim zdążyli się na dobre rozgościć, na podjeździe zauważono oddział kozaków. Tadeusz Butler, prawnuk Adama i Karoliny, tak opisuje to wydarzenie w utworze *Niezwykła gościna*: *Oficer wszedł w progi i zasalutował/ okiem bystrym po sprzętach jak zwykle lustrował/ na twarzach obecnych czytał, czy zmieszanie/ czy strachu nie sprawiło kozaków zjechanie./ Gospodarz grzecznym słowem pozdrowił przybysza/ pozdrawiam was-tu wkoło cisza/cóż jedni przychodzą a inni odchodzą/ i jedni i drudzy jednako nas głodzą./ Dwór prawie doszczętnie został objedzony/ wiadomo żołnierz zawsze bywa wygłodzony/ jadła nawet dla siebie nie mamy dostatek/ nie mówiąc już o służbie i dla służby dziadek/...My tu nie w gościnę i nam czasu mało/ oficer odpowie - nam tu się zjechało/ bo ponoć tu we dworze dwaj obcy przybysze/ emisary, powstańcy nam spokoju zakłócają ciszę/ Mnie tak powiadali/ że tu oni we dworze przed nami schowani/ Razreszitie – uwidzím - rewizju zrobimy/ a jako nam nada dokładnie sprawdzimy. Całe obejście i dwór dokładnie przeszukanano – chociaż Powstańców nie znaleziono, gospodarza rozłożono na ławie i wykonywano nachajkami (bat kozacki) karę chłosty. W czasie rewizji dokonywanej w szafie, w kredensie, w komodzie, otworzyli też żołnierze w obecności swego oficera duży kufer, a w nim znaleźli oprócz innych przedmiotów starannie przechowywany z urzędowymi pieczęciami i drukiem w języku rosyjskim papier, który natychmiast chwycił oficer i pilnie począł czytać. Po chwili wrzasnął na tych, którzy wykonywali chłostę, aby ją natychmiast przerwali. Papier ten był dowodem szlachectwa - herbem (ojciec Adama - Antoni i brat Jan w 1837 r. wylegitymowali się w Heroldii Królestwa Polskiego). Według rzekomo ówczesnych przepisów carskich szlachcicowi rozłożonemu na ławie można było wymierzyć pewną ilość batów*

pod warunkiem, że ława ta będzie nakryta kilimem. Rosjanie z polecenia oficera zaczęli się rozglądać za czymś, co mogłoby posłużyć za kilim, ale ich oficer biorąc pod uwagę, iż winowajca i tak już „pouczył” pewną ilość uderzeń, kazał zaniechać dalszej chłosty. Właściciel zagrody, oprócz kary cielesnej, odczuł jeszcze inne represje ze strony władz rosyjskich. Opowiadając wydarzenia z okresu Powstania babka moja zastrzegła, że będąc małą dziewczynką (12 lat) nie wszystko rozumiała, co się wokół niej działo. Pamiętam dobrze, choć byłem wtedy małym szkrabem, jak matka mojej matki śpiewała pieśni powstańcze; w jednej z nich powtarzało się nazwisko Mierosławski (pierwszy dyktator Powstania Styczniowego).

Świadkiem tych wydarzeń była również żona Adama – Karolina. /Było to w okresie, gdy w brzemiennym stanie/ prababka ma była. Wówczas wszystkie panie/ w krynolinach obszernych spódnice nosiły/ a nie tylko stan ten pod fałdami kryły/ Cóż wynik rewizji – wiadomo - jednaki/ Oficer się zadumał: „wot chytre Polaki”/ Gdzież oni się skryli?/ Służba w kuchni, pan razem a pani brzemienna/ siedziała w krynolinie jak tu wszedł, niezmienna/ Jednym tylko zdaniem doń się odezwała;/ ja przy nadziei - i dalej coś tam wyszywała/ Wiadomo iść jej ciężko, więc się nie ruszyła/ rzekła nawet „że wkrótce” i tym go zmyliła/. Zatem, gdzie owi powstańcy się skryli? Chwała Bogu – pomyślał gospodarz na progu./ Chwała bądź Najwyższemu, Jedynemu Bogu!/. Bo, cóż to by było? Czy zmazał by winy/ gdyby nie jego żony sute krynoliny?/ Kiedy wszedł do pokoju, obok jego żony/ siedział emisariusz jak gdyby wskrzeszony./ A wdzięczny był gospodarzom, że go tak schowali/ Cóż, gościnność staropolska zna takie obrazy/ a że nie bohater? A któż jest bez skazy?/ Większą bohaterką już matrona była/ która w tak przemysłny sposób powstańca ukryła/ przytomność umysłu, no i nerwy miała/ a w czasie rewizji szyciem zabawiła/ Drugi emisariusz jak wieść dawna niesie uciekł także cichaczem i ukrył się



Patent z Heroldii Królestwa Polskiego;
domena publiczna

w lesie./ Inny rodzaj kryjówki obrał, bo wyboru/ nie miał także innego i uciekł do boru./ Zapytacie, dlaczego fakt ten opisałem/ i jaki to związek z tym Powstaniem całym?/ W Długoleckim dworku, jakom pisał - żyła/ pani za Smoleńskim i tam też powiła,/ nazajutrz po faktach, które tu spisano/ córeczkę, na chrzcie którą Sabiną - Powstańcem nazwano/ późniejszą moją babkę./ Ta zaś mi mówiła, po jakich to wypadkach tam się urodziła.

O godzinie czwartej rano 3 sierpnia 1863 r. Karolina Smoleńska urodziła zdrową córeczkę, a 6 sierpnia tego roku o godzinie jedenastej w pałuckim kościele ochrzcił ją ks. Xawery Nałęcz. Nadano jej imię Sabina, ale jak pisze wnuk, rodzina często nazywała ją Powstańcem. Echa Powstania i walki o niepodległość Polski towarzyszyły Sabinie przez całe życie, przyszły teść Marian Butler za pomoc Powstańcom stracił majątek i został zesłany na Syberię („przemysłowiec” z Dulaska, przestępca polityczny. Żandarmowi Afaltowskiemu, przebywającemu w Dulsku, okazał czynną pomoc, poradził mu ogolić brodę dla uchronienia się



Pieczęć Rządu Narodowego;
domena publiczna



Pierwszy nagrobek Adama Smoleńskiego, obecnie jako przydrożny krzyż w Pajewie

od aresztowania i czynnie wspomagał powstańców. Na mocy wyroku sądu wojennego w Płocku w 1863 r. zatwierdzonego przez namiestnika zesłany na osiedlenie się w guberni jeniisejskiej. Wskutek manifestu carskiego z 25 maja 1871 r. wrócił do Rypina 15 czerwca 1872 r.). Trzeba przyznać, że oficer carski był łaskaw dla prapradziadka Smoleńskiego; za znacznie mniejsze przewinienia można było zobaczyć Syberię.

Konfidentem i zdrajcą, który naprowadził kozaków okazał się Żyd - pachciarz (dzierzawca) mieszkający w okolicy. Przez Lotny Oddział Żandarmerii, na mocy wyroku sądu polowo-wojennego, został powieszony na dzikiej gruszy rosnącej przy drodze obok wsi Sosnowo - ku przestrodze. Wyroki takie wykonywano z dala od wsi, z reguły na rozstaju dróg. Żandarmów zobowiązano do wykonywania tylko wyroków sądu. Nieposłuszeństwo surowo karano. Twórcą Żandarmerii Narodowej był komisarz rządowy woj. płockiego Zbigniew Chądzyński. W każdej gminie spośród miejscowej ludności powoływano jednego lub dwóch żandarmów. Musieli się oni odznaczać dobrym prowadzeniem, charakterem i przytomnością umysłu. Każdy z członków żandarmerii posiadał

pisemny mandat, wymieniający jego nazwisko oraz stopień służbowy, by w razie popełnienia nadużycia można było sprawcę zidentyfikować i pociągnąć do odpowiedzialności. Żandarmi otrzymywali niewielkie kwoty na swe utrzymanie (po 30 kop. dziennie). Prócz tego mieli prawo żądać w każdej wsi dostarczenia sobie żywności i furazu dla koni.

Do obowiązków żandarmów w terenie należało czuwanie nad wykonywaniem poleceń władz narodowych, śledzenie ruchów wojsk nieprzyjacielskich, świadczenie różnych usług na rzecz oddziałów powstańczych, takich jak pełnienie funkcji przewodników i informatorów, przewożenie broni, amunicji, likwidowanie patroli i poczt nieprzyjacielskich, niepokojenie rosyjskich załóg w miastach, zatrzymywanie osób podejrzanych oraz wykonywanie wyroków na zdrajcach. Zbigniew Chądzyński był zwolennikiem bezwzględnej rozprawy z konfidentami. Szacuje się, że w ten sposób zostało straconych około dwóch tysięcy zdrajców. Prasa powstańcza dla szpiegów również była bezlitosna: *Szpieg jest to najnikczemniejsze stworzenie na świecie, gorsze od najdzikszego zwierzęcia bo wilk, lis, tygrys albo lew*

napadają na inne zwierzęta, szarpią je i pożerają, lecz żadne z tych dzikich bestii nie napada i nie pożera swego plemienia; ale szpieg podły braci swych sprzedaje, aby ich krew i łzy pić... Organizacja Żandarmerii



Pod taką właśnie krynoliną schował się ów Powstaniec; Muzeum Warszawy



Przedwojenna karta korespondencyjna
za słynnej serii *Polonia* z rysunkami
Artura Grottgera „Branka”

Narodowej w woj. płockim wedle Chądzyńskiego była ściśle kontrolowana i utrzymywana w karności: *oddawała wielkie zasługi sprawie, a nieraz więcej jak całe oddziały robiła Moskwie [...]* Za pośrednictwem żandarmerii z wyjątkiem miast, byliśmy panami całego kraju.

Parafia Pałuki jest jedną z najstarszych parafii w diecezji płockiej. W jej skład wchodziła część ordynacji Krasińskich, kilka majątków ziemskich oraz okoliczne wsie, które w dużej mierze zamieszkiwała drobna szlachta. Długołęka, jak i część innych okolicznych wsi u swojego zarania była wsią rycerską i zapewne był to główny powód patriotyzmu oraz umiłowania wolności jej mieszkańców. W Długołęce Mirosy w październiku 1845 przyszedł na świat Franciszek Wilkowski, syn Nereneusza (possesora dzierżawnego) i Heleny z Młodzianowskich. W grudniu 1862 r., kiedy przyjechał na święta do domu (uczył się w gimnazjum w Warszawie), mając zaledwie 17 lat uczestniczył w zjazdach obywateli ziemskich guberni płockiej, przygotowujących Powstanie. W opracowaniu „Na 70-lecie Powstania Styczniowego - Ostatni z 1863 roku” w biogramie jego czytamy: *Brał czynny udział w organizowaniu oddziału powstańczego przez ziemianina Sicińskiego (którego ojciec przyjaźnił się z Nereneuszem ojcem Franciszka)*

*zbierając wśród szlachty dwóch okolicznych powiatów konie i broń, wśród której znalazły się nawet dwie małe armatki (takie armatki były na stanie w Opinogórze, a ojciec Franciszka przez kilkanaście lat pracował jako ekonom w Opinogórze Hrabskiej). Oddział ten, do którego wstąpił także Wilkowski, przeszedł następnie pod rozkazy Zygmunta Padlewskiego, niosąc mu skuteczną pomoc w bitwie pod Zeńbokiem. Oba oddziały razem liczyły 1200 ludzi i były wciąż atakowane przez silne wojska rosyjskie, z którymi tylne strażę powstańcze musiały niemal codziennie staczać potyczki. Brak odpowiedniej broni, gdyż powstańcy uzbrojeni byli tylko w kosy i liche dubeltówki (jeden z przepisów stanu wojennego 1861 r. nakładał obowiązek złożenia wszelkiej posiadanej broni na policji) stał na przeszkodzie przyjęcia przez Padlewskiego większej bitwy. Doszło do niej dopiero pod Radzanowem 21 marca 1863, gdzie połowa Powstańców po całodziennych walkach poległa, względnie została wzięta do niewoli. Padlewski rozkazał złożyć broń na wozach i rozejść się (Zbigniew Chądzyński w swoich „Wspomnieniach Powstańca 1861-1863” natomiast napisał: *Każdemu z żołnierzy obecnych dano 10 rubli z pieniędzy zabranych z kasy miasta Szreńska i wraz z uzbrojeniem i końmi rozejść się zalecano*). Wilkowski kontuzjowany w tej bitwie wrócił do domu i leczył się przez 5 tygodni. Po powrocie do zdrowia zajął się z rozkazu Rządu Narodowego*



Sabina Smoleńska
– „Powstaniec”



*Sabina ze Smoleńskich i Władysław Józef Butler
z rodziną; na kolanach mamy siedzi
Tadeusz Butler, autor „Niezwyczajnej gościny”;
Łomża 18.04.1927*

przewożeniem broni i amunicji i to był najcięższy i najniebezpieczniejszy okres jego służby. Doczekał wolnej Polski. W 1934 r. schorowany, mieszkał w Warszawie przy ulicy Wspólnej 79.

Wyżej wspomniany Konstanty Sieciński vel Siciński (około 1824-1881) właściciel Kobylina, *wielce w swej okolicy szanowany*, to bohater Powstania Styczniowego, którego życie należałoby opisywać złotymi zgłoskami. Syn Franciszka Ksawerego Siecińskiego, kapitana wojska polskiego, uczestnika powstania listopadowego i Konstancji z Łąckich. Jako uczeń Kursów Prawnych aresztowany za czytanie zakazanych książek i pism oraz za odwagę marzenia o wolnej i niepodległej Polsce. Decyzją namiestnika z lipca 1844 r. oddany w rekruty z prawem wysługi (zesłany do Zabajkalskiego kraju). W 1857 powrócił z Kaukazu jako porucznik Połockiego Pułku Piechoty i ponownie zaczął działać w konspiracji. Zachęcony przez Anielę Radzicką i jej kuzyna Józefa Malinowskiego zorganizował oddział Powstańczy złożony z okolicznej szlachty. 21 kwietnia 1863 r. wraz z generałem Padlewskim wpadł w zasadzkę pod Borzyminem koło Rypina, zesłany na Syberię. Zmarł 2 marca 1881 r. w Spassku w gubernii tambowskiej i tam został pochowany. Do końca wierzył, że uda mu się wrócić do Kobylina.

Obdarzony był wielkim talentem plastycznym, który ułatwiał mu życie na zesłaniu, ale to już historia na kolejne kwerendy i poszukiwania. Konstanty Sieciński jest bohaterem, któremu należy się pokłonić, poświęcić jego dziejom czas i przywrócić mu należyte miejsce w historii, aby ponownie był znany i szanowany w okolicy!

W tej powstańczej historii małego skrawka Mazowsza jest jeszcze jeden Powstańiec, Franciszek Pajewski (1843-1931), urodzony w Przytoce syn Walentego (1806-1857) i Karoliny (1812-1894) ze Smoleńskich, najstarszej siostry Adama. Franciszek Pajewski to dziadek prof. historii Janusza Pajewskiego. Wyruszył do Powstania w oddziale Józefa Grekowicza w woj. kaliskim i brał udział w uderzeniu na załogę Radomska w nocy z 23 na 24 stycznia 1863 r. Później walczył w partii Józefa Oxińskiego i generała Edmunda Taczanowskiego. Jego wnuk w książce „Przeszłość z bliska. Wspomnienia” tak opisuje dziadka: *Był to oryginał jakich mało: średniego wzrostu, z siwym wąsem, postać przeniesiona żywcem gdzieś z początków XIX wieku, styczniowy insurgent, który tylko dzięki szczęśliwemu trafowi uniknął aresztowania i zsyłki.*



*Tak zapewne kuto kosy i kowala Jana Pólkośnika;
karta korespondencyjna z rysunkami Artura
Grottgera „Kucie kos”*

W rodzinie Pajewskich jest jeszcze jeden konspirator i „wichrzyciel” – Aleksander (ok. 1832-1921) urodzony w Kawenczynie (Kałużynie?) syn Leona i Katarzyny Pajewskich, brat cioteczny wyżej wspomnianego Franciszka. W dniu 2 kwietnia 1864 urzędujący w Cytadeli Audytoriat połowy rozpatrywał sprawę ośmiu osób „różnego stanu” oskarżonych o przestępstwa polityczne. Właściciel drukarni Ignacy Krokoszyński zeznał, że Aleksander Pajewski lat 32 zecer w tejże drukarni wiedział o drukowaniu dzieł i gazet zakazanych. Poza tym wysłał on tegoż Pajewskiego do rusznikarza Sosnowskiego, aby dorobił kolbę do pistoletu (Sosnowski odsiedział w areszcie dwa tygodnie za to przestępstwo). *Gdy pistolet był gotów, Krokoszyński otrzymał od Pajewskiego trochę prochu. Ze swej strony Pajewski wyjaśnił, że darował Krokoszyńskiemu blaszankę prochu, którą otrzymał w traktierni (podrzędna restauracja) matki swojej od jakiegoś strażnika celnego niewiadomego nazwiska. Wreszcie po konfrontacji przyznać musiał, że widział jak drukowano broszurę: „Napoleon III, Europa i Polska”.* Na mocy wyroku otrzymał karę poprawczą tj. zesłanie do Rosji pod dozór policji, niestety, nie napisano na ile lat. 17 stycznia 1865 r. przy spisaniu aktu urodzenia jego córki Matyldy Aleksandry zanotowano, że nie ma ojca z powodu wyjazdu, również był nieobecny 8 lipca 1866 przy spisaniu aktu zgonu wspomnianej Matyldy. Ale już 1 września 1868 r. stawił się przy spisaniu aktu urodzenia syna Bronisława Witolda urodzonego 15 sierpnia tegoż roku, zatem można założyć, że wrócił z zesłania do Warszawy pod koniec 1867 r. Był wydawcą i redaktorem tygodnika humorystycznego „Kolce” wychodzącego w latach 1871-1914. Pochowany na warszawskich Powązkach.

Do panteonu Powstańców naszego skrawka Mazowska należy dołączyć jeszcze konduktora drogowego Józefa Adama Kryszewicza, urodzonego

w Opinogórze w 1842 r. Walczył w Powstaniu pod dowództwem kolejno Zameczka, Padlewskiego, Jurkowskiego, Gasztowta, Sęk – Zembrzuskiego. Po upadku zesłany na Syberię do guberni jeniisejskiej. Tym,



*Żandarmeria Narodowa;
domena publiczna*

co łączy mnie osobiście z Powstaniem, jest

nie tylko historia prapradziadka prowadzącego działalność konspiracyjną na rzecz Powstania, ale hymn „Boże coś Polskę”. Przez całe lata osiemdziesiąte XX wieku w kościele w Sońsku na zakończenie niedzielnej Mszy św. śpiewano właśnie tę pieśń, z refrenem zmienionym przez Episkopat Polski po wojnie na wyraźne żądanie władzy ludowej (Ojczyznę wolną pobłogosław Panie), a ja młode dziewczę śpiewałam wersję Powstańczą, nie mając o tym zupełnie wiedzy. Szacuje się, że w Powstaniu Styczniowym brało udział około 200 000 osób, drugie tyle pomagało, a 80% ich potomków o tym nie wie. Mnie udało się odnaleźć te „rodowe srebra”, ale to jest chyba nagroda od tych, których przywraca się pamięci. *Cośmy słyszeli, co doszło do naszych uszu/ co nam opowiedzieli ojcowie,/ tego nie chcemy ukrywać przed synami naszymi/ przyszłym pokoleniom chcemy o tym mówić/ Ps:78, 3-4*

c.d. nastąpi

Marzena Janina Kowalik

Powstanie Styczniowe i Powstańcy pisałam wielką literą z szacunku do Powstania i ich uczestników.

Zdjęcia nie przypisane do właściciela, stanowią własność autorki.

Z etnograficznej teki

WIERZBA I PALMA

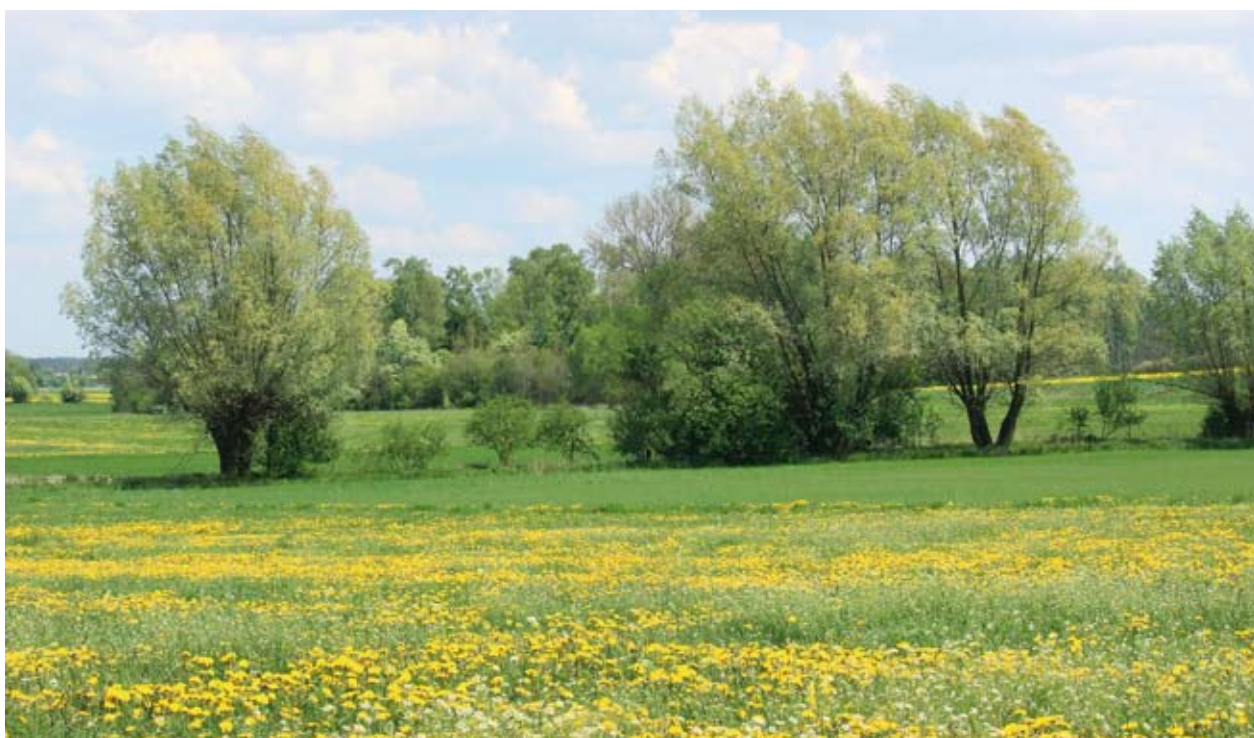


Logo powiatu
ciechanowskiego

Wierzba to drzewo niezwykle. W wierzeniach naszych przodków uchodziło za siedlisko złych mocy. Czasami przybiera ono dziwne kształty. W licznych dziuplach gnieźdzą się złowieszcze puchacze i pójdzki, węże, padalce, jeże i ropuchy, czyli niemiłe raczej stworzenia prowadzące nocne życie, lepiej czujące się przy blasku księżyca niż w świetle słońca. Na wierzbie podobno powiesił się Judasz, a w wypróchniałych pniach pomieszkiwał diabeł Rokita. Było to także ulubione drzewo czarownic. Z drugiej strony wierzba uchodziła za drzewo chroniące przed czarami i urokami oraz ucieleśniała siły

witalne. Ludzi fascynowała żywotność wierzby, wystarczy bowiem wetknąć gałązkę wierzbową lub patyk do ziemi, aby puściła korzenie i pędy. W chrześcijaństwie wierzba symbolizuje długowieczność, odrodzenie i zmartwychwstanie.

Na całym globie ziemskim występuje około 450 gatunków wierzby, z czego w Polsce tylko 28 drzew i krzewów. Do najpopularniejszych należą: wierzba biała (*Salix alba* L.) nazywana także zwyczajną lub srebrną; wierzba krucha (*Salix fragilis*) oraz wierzby krzewiaste: purpurowa (*S. purpurea*), szara lub łoża (*S. cinerea*), siwa (*S. caporea* L.), rokita (*S. repens* L.) i wierzba wiciowa (*S. viminalis* L.). Niektóre odmiany uprawiane są jako rośliny ozdobne. Należą do nich zwłaszcza wierzby płaczące, sadzone nad zbiornikami wodnymi w parkach i ogrodach.



Wierzby na łące Kostrzeń między Kątki a Jarlutami



Droga wiejska wysadzana wierzby, Ostaszewo Wielkie

Wierzby - jak żadne inne drzewa - zrosły się z polskim, a zwłaszcza mazowieckim krajobrazem i stały się jego symbolem. Pisali o nich wiersze poeci, malowali je najwybitniejsi nasi malarze. Niegdyś spotykane były powszechnie, dziś coraz rzadziej, niemniej na terenie powiatu ciechanowskiego można znaleźć jeszcze miejsca, gdzie te piękne drzewa cieszą oczy nie tylko sprzymierzeńców przyrody. Pytanie jednak - jak długo?

Naturalnym środowiskiem wierzby są lasy łąkowe, tereny położone wzdłuż rzek i strumieni oraz wszelkie inne miejsca o wilgotnym podłożu. Ręką człowieka sadzone były wierzby wzdłuż dróg, nad stawami, na miedzach, obrzeżach łąk i pastwisk. Drzewa te rosną bez żadnej pielęgnacji. Wystarczy wiosną wetknąć do ziemi wierzbowy kolek, aby po kilku latach zamienił się w okazałe drzewo. Jerzy Grzymkowski, kochający uroki mazowieckiej wsi, tak pisał: *Obsadzano wierzby drogi gromadzkie, społeczne jak i te prywatne przez pola prowadzące. Zimą znaczyły szlak drogi, wystawiając ponad śnieżne, nieraz kilkumetrowej wysokości zaspy swe ogromne łby*

i służyły za drogowskaz zabłąkanym. Zwłaszcza w nocy. W lecie dawały cień idącym czy jadącym drogą. A te na miedzach chłodziły rozpalone ciała pracujących w polu. W cieniu wierzby jadano się podobiadki i podwieczorki, w cieniu wierzby wypoczywało się w letnie, skwarne dni¹.

Drewno wierzbowe jest miękkie i nietrwałe, szybko butwieje i parcieje, nie nadawało się przeto do użytku w gospodarstwie. Nie można było z niego zrobić belki ani deski, stołu, łóżka, skrzyni, sań, wozu, grabi ani nawet styliska do siekiery. Można było co najwyżej wystrugać nieckę (*kopańkę*) do zagniatania ciasta na zacierki lub kluski bądź czerpak do ziarna i mąki. Pastuszki i pastuchy z kory i gałązek wierzbowych wykonywali wiosną puszczalki, gwizdki, trąbki i fujarki. Fujarka z wierzby, która nigdy nie słyszała piania koguta ani szumu wody, mogła podobno odzywać się ludzkim głosem. Zdarzyły się przypadki użycia drewna wierzbowego w innych celach, czego przykładem jest słynąca łaskami figura Madonny z Dzieciątkiem (Pani Niezawodnej

¹ Grzymkowski J., *Smak ulegalek*, Warszawa 1980, s. 64.



Pomnik Fryderyka Chopina, Warszawa Park Łazienkowski, domena publiczna

Nadziei) w kościele benedyktynek w Sierpcu. Gotycka figura Matki Boskiej Sierpeckiej z około 1340 roku, jak wykazały najnowsze badania, została wykonana ... z drewna wierzbowego. Materiał ten nadawał się natomiast na opał, co było wybawieniem dla wielu chłopskich gospodarstw nie posiadających lasu. Gałęzie wierzbowe obok torfu były wówczas jedynym opałem. Troskliwy rolnik sadił przeto wierzby przy drogach i miedzach, a kiedy podrosły, co kilka lat wiosną ogławiał drzewa, czyli obcinał im gałęzie. Wskutek tego powtarzanego corocznie lub co kilka lat zabiegu pnie wierzby pozostawały niewysokie, ale pęczniały i nabierały charakterystycznego, rosochatego kształtu.

Wierzby sadił nie tylko przy wiejskich drogach. Korespondent Płocki w nr 53 z 1887 roku donosił z Ciechanowa: *Były właściciel dóbr Szczurzyzna dr Rajkowski własnym staraniem przy swojej posesji obsadził chodniki do „Ostatniego Grosza” wierzbowymi kolkami, już urosłymi w drzewa i dającymi cień należyty, a co prywatny właściciel zrobił, nie może uczynić albo nie wie o tej potrzebie fundusz gubernialny na drogi szosowe, więc też zwracamy się z prośbą, ażeby tak chociaż postąpiono, jak zrobił to dr R., a na to zapewne ani oddzielnych*

kosztorysów ani oddzielnych funduszków nie potrzeba; dobre chęci miejscowego zarządu drogowego wystarczą na to, ażeby publiczność osiągnęła tę miłą korzyść z używania chodnika, nie narażając się ani na skwar słoneczny, ani na wciąganie w swoje płuca masami pyłu szosowego. Polecamy się więc łaskawej pamięci.

Zalety wierzby doskonale poznali osadnicy holenderscy i potrafili je wykorzystywać, zagospodarowując grunty podmokłe, bagienne i zalewowe. Gospodarowanie na takich gruntach wymagało kopania rowów i kanałów odwadniających. Wzdłuż tych urządzeń sadił wierzby, których system korzeniowy wzmacniał krawędzie rowów i kanałów przed osuwaniem się ziemi. Dużo wilgoci z gruntu pochłaniały też drzewa na „własne potrzeby”. Oko wprawnego obserwatora dostrzeże dziś jeszcze resztki „olenderskich” wierzbowych nasadzeń we wsiach pomiędzy Ojrzeniem a Sochocinem. Zagrody mieszkających tam do wojny menonitów otaczały płoty, uplecione z gałęzi wierzbowych. Były to tzw. płoty koszowe, wykonane z gęsto bitych słupków, pomiędzy którymi poziomo przeplatano wierzbowe gałęzie.

Wierzby krzewiaste dostarczają surowca używanego w plecionkarstwie. Młode pędy wierzby



Matka Boska Sierpecka – gotycka rzeźba z drewna wierzbowego, wykonana w 1340 roku, domena publiczna

używane do wyplatania różnych przedmiotów nazywane są wikliną (dawniej *wicina*). Żadne gospodarstwo wiejskie ani domowe nie mogło się obyć w przeszłości bez różnej wielkości i kształtów koszy, koszyków i koszyczków. Wikliną oplatano szklane gąsiory oraz flaszki na gorzałkę, olej i naftę w celu zabezpieczenia ich przed stłuczeniem. Z wikliny wyplatano także *wiersze* służące do połowu ryb i *sadze* do ich przechowywania. Współczesne wikliniarstwo wykorzystuje przed wszystkim młode pędy wierzby purpurowej (*Salix purpurea*), które wcześniej poddawane są specjalnej obróbce.

Już w starożytności znane były ludziom lecznicze właściwości wierzby, znała je również dobrze ludowa medycyna naszych przodków. Naparami z kory i liści wierzbowych leczono przeziębienia, gorączkę, schorzenia reumatyczne, bóle głowy, nerwobóle. Kwasy organiczne znajdujące się w korze wierzbowej to naturalna aspiryna, lek o działaniu przeciwbólowym, przeciwgorączkowym i przeciwzapalnym. Huba pasożytująca na wierzbie, wygotowana i odpowiednio spreparowana, była środkiem do tamowania krwi. Używano jej także do niecenienia ognia w czasach, kiedy rolę zapalek pełniło metalowe krzesiwo i kawałek krzemienia. Próchno z kolei wydłubane ze strych drzew dostarczało pszczelarzom „paliwa” do podkurzaczy podczas miodobrania i dogładania barci oraz uli.

Suche lub usychające wierzby, wypróchniałe i świecące nocą próchnem wierzby uchodziły za mieszkanie diabła Robity. Stąd powstały popularne przysłowia: *Zakochał się jak diabeł w suchej wierzbie*; *Kręci jak diabeł suchą wierzba*; *Śmieje się jak diabeł w suchej wierzbie*. O. Kolberg pisał: *W wielu miejscach Polski gmin powszechną temu daje wiarę, że najulubieńszym pomieszkaniem diabła jest stara i spróchniała wierzba. W niej przemieniwszy się w puszczyka, lubi śmierć ludziom przepowiadać. Dla tej przyczyny wieśniak wierzby stojącej na miedzy nie ścina, ale owszem wspólnie*



Wiersza na ryby



Szklana flaszka opleciona wikliną



Opatka do przenoszenia opału i karmy dla zwierząt



Lulav – bukiet z gałązkami wierzby używany w czasie żydowskiego święta Sukot, domena publiczna



Procesja ortodoksyjnych Żydów z lulav w czasie święta Sukot, Jerozolima 2020, domena publiczna

z sąsiadem, na którego gruncie znajduje się takowa, stara się jak najusilniej pielęgnować, zabezpieczać od szkody; a to z bojaźni, aby nie obrazić diabła, co w niej przesiaduje i w najrozmaitszych postaciach okazuje się ludziom².”

² Kolberg O., *Dzieła wszystkie*, t. 42, Mazowsze cz.7, Kraków 1970, s. 361-362.

Mazowiecki Rokita to było swojskie, raczej głupie diablisko chodzące w sukmanku, gadające miejscową gwara, dające się często oszwabić, ale jednocześnie złośliwe, wodzące nocnych marków po bezdrożach i płatające pijanym chłopom paskudne psikusy. Wierzono, że w dziuplach diabeł trzyma skarby, a kiedy przelicza swoje złoto, wówczas widać poświatę w wypróchniałej wierzbie. Przestrzegano, aby w czasie burzy nie chronić się pod wierzbą, bowiem wówczas Bóg mógł piorunem razić siedzącego w niej diabła.

Wierzba jest drzewem kilkakrotnie wymienionym w Biblii. W starożytnym Izraelu była symbolem czystości, radości i świętowania. Liście wierzbowe symbolizowały usta wyznawców judaizmu chwalejących Pana. W *Księdze Kapłańskiej* (23.40-41 *Uroczystości religijne*) zostało napisane: *W pierwszym dniu weźmiecie dorodne owoce drzew, liście palmowe, gałązki gęstych drzew i wierzb nadrzecznych i będziecie się weselić przed Jahwe, waszym Bogiem przez siedem dni. I tak corocznie obchodzić będziecie przez siedem dni to święto na cześć Jahwe, waszym Bogiem, przez siedem dni.* Nakaz powyższy odnosi się do żydowskiego święta Sukot, po polsku nazywanego Świętem Szałasów, Namiotów lub Kuczkami. W starożytnym Izraelu było to święto zbiorów, upamiętniające mieszkanie Izraelitów w namiotach podczas ucieczki z Egiptu. W czasie tego święta ortodoksyjni Żydzi śpią w szałasach. Przez siedem dni odbywają się procesje wokół synagog, w czasie których uczestniczący mężczyźni modlą się i wykonują obrzęd kołysania bukietami o nazwie lulav. W skład takiego bukietu wchodzi gałązka palmy daktylowej, trzy gałązki mirtu i dwie gałązki wierzby. Ta ostatnia symbolizuje w bukiecie Józefa, syna Jakuba, który sprowadził ojca z rodziną do Egiptu i jako pierwszy z dwunastu braci odszedł do wieczności. W czasie obrzędu kołysania mężczyźni trzymają bukiet w prawej ręce, w lewej natomiast owoc o nazwie etrog (rodzaj cytrusa).

Psalm „Nad rzekami Babilonu” (*Księga Psalmów*, 137.2), pełen żalu za utraconą ojczyznę, rozpoczyna się od słów:

*Nad rzekami Babilonu -
tam siedzieliśmy i płakali,
kiedy wspominaliśmy Syjon.
Zawiesiliśmy lutnie nasze,
na wierzbach owej ziemi.*

W *Księdze Izajasza* (44.3-4) Prorok porównał potomstwo Jakuba (Izraela) do wierzby:

*Teraz więc słuchaj, sługo mój Jakubie,
i ty, Izraelu, którego wybrałem!...
Ja Ducha swego na twój ród wyleję
i błogosławieństwo – na twoje potomstwo!
Wtedy rozkrzewią się, jak trawa
pomiędzy wodami,
jak wierzby nad potokami!*

Teksty ewangelii wg św. Marka i św. Jana informują, że mieszkańcy Jerozolimy witający Jezusa zbliżającego się do bram miasta nieśli w dłoniach gałęzie palmowe, które rozścielali przed nim na drodze. Chrześcijanie w krajach śródziemnomorskich na pamiątkę tego wydarzenia niosą w procesjach w Niedzielę Palmową gałęzie palm lub gałązki drzew oliwnych. W Polsce w Niedzielę Palmową zanosilo się do poświęcenia gałązki wierzby pokryte baziami lub zielonymi listkami. Wierzba jest jedną z pierwszych roślin, która wiosną budzi się do życia, co sygnalizuje pojawieniem się na gałązkach bazi (*kociek*). W tradycji chrześcijańskiej jest ona symbolem odradzającego się życia, zdrowia i szczęścia rodzinnego, symbolizuje także Chrystusa oraz niezmiennosc Jego nauki w Kościele, chrzest, czystosc cielesną. Wierzba płacząca, jak sama nazwa wskazuje, symbolizuje smutek.

Do poświęcenia zanoszono najczęściej gałązki wierzby krzaczastych. Na północnym Mazowszu używano w tym celu wierzby purpurowej, szarej i iwy. W dawnych czasach gałązki wierzbowe do poświęcenia przygotowywał kościelny. Łukasz Gołębiowski w 1830 r. pisał: *Dla znakomitszych*



*Pola i Gucio z palmami,
Ciechanów 2022*



*Przed procesją w Palmową Niedzielę,
Chotum 2016*

osób starał się zakrystian przysposobić zielonością okryte, trzymając wierzbowe pędy w wodzie w ciepłym pokoju i wystawą ku słońcu przez parę niedziel, dla pospolitszej rzeszy były suche, albo z pączkami, czyli bagniatkami zaledwie. Odrywał je gmin pobożny i pobykał, w tem będąc przekonaniu: że kto w niedzielę kwietną bagniatka palmowego nie połknął, to już zbawienia nie otrzymał³.

³ Gołębiowski Ł., *Lud polski*, Warszawa 1830, s. 284.



Palma

W XX stuleciu gospodynie wiejskie same sporządzały palmy lub kupowały je na targach. Bywały różne formy palem. Do pęczka wierzbowych gałązek ku ozdobie dodawano pokryte listkami gałązki porzeczek, agrestu, malin lub brzozy. Czasami dodawano trzcinę, a powszechnie przybierano je zielonymi borówkami, widłakiem (*zajęcze wąsy*, *lisie wąsy*) lub barwinkiem, nadając palmie formę zbliżoną do wałka. Bywały także palmy wielkanocne przypominające kropidła. Wykonywano je z kilku gałązek wierzbowych i pęczka suchej trzciny, obłożonych dookoła zielonymi gałązkami borówek (brusznica), barwinka, widłaku, czasami bukszpanu lub tui. Końce palem wiązywano kolorową wełną lub okręcano papierem. Taką palmę zdobił zawsze bukiet papierowych kwiatów. U schyłku XX wieku ogromną popularność zyskały palmy z suchych kwiatów, słomy i barwionych traw, plecione na podobieństwo palem wileńskich. Takie palmy sprzedawane dziś na targach, w kwaciarniach i supermarketach skutecznie wypierają dawne formy, z żywymi gałązkami wierzbowymi.

Do kościoła palmy niosły zwykle gospodynie, ale czasami także inni członkowie rodziny. Po powrocie gospodyni dawała wszystkim domownikom do połknięcia jedną wierzbową kotkę, co miało uchronić przed chorobami gardła. Zwyczaj ten, dobrze znany również w innych regionach Polski, żywy był jeszcze w okolicach Ciechanowa w latach 50. XX wieku. Poświęcona palma wetknięta za obraz na ścianie lub przybita nad drzwiami



Palma

miała chronić dom przed złem. Używano ich także do błogosławienia bydła, wychodzącego po raz pierwszy na wiosenne pastwisko. Gospodarz lub gospodyni kreślili trzymaną w ręku palmą znak krzyża nad każdym zwierzęciem i uderzali je po grzbiecie lub kropili wodą święconą. Janina Wichowska z Ościłowa wspominała przed laty: *Jak na wiosnę po raz pierwszy pastuchy wyganiali bydło na pastwisko, to ludzie je święcili. Gospodarz stał w opłotkach i trzymał w ręce palmę. Ktoś inny przy nim trzymał talerzyk z wodą święconą. Jak bydło szło już z szopy na drogę, to gospodarz maczał palmę w święconej wodzie i święcił każdą krowę oddzielnie. Zeszłoroczną palmę po poświęceniu nowej należało spalić. Niektóre gospodynie używały jej do rozpalenia ognia w piecu chlebowym podczas wypieku wielkanocnego pieczywa. Popiół wygarnięty z pieca rozsypywany był wówczas na polu, w ogrodzie lub na łące, co miało zapewnić dobre zbiory i obfite przyrosty trawy.*

Na wschodnim Mazowszu palmami nazywano wierzbowe gałązki noszone do poświęcenia w kościele jak również dłuższe, z którymi kawalerowie z rana w Palmową Niedzielę biegali po domach i bili nimi dziewczęta. To rytualne smaganie nazywano *palmowaniem*, a towarzyszył mu wierszyk: *Palma bije, nie ja biję. Za tydzień wielki Dzień, za sześć nocy Wielkanoc. Malowane jajko zjem!*

Z Kownat Żendowych, Nużewka i Radziwia pochodzą szczątkowe, ale niezwykle ciekawe informacje o wiciu specjalnej palmy na Palmową



Palma

Niedzielę, która była jedynie elementem dekoracyjnym, ustawionym na stole lub w innym poczesnym miejscu izby. Do jej wykonania potrzebny był prosty patyk długości około metra (być może w przeszłości wierzbowy), który oplatano sośniną i borówkami lub gałązkami innych zimozielonych roślin. W miarę możliwości palmę przyozdabiano kolorowymi, papierowymi kwiatami. Palma taka wstawiona do naczynia z piaskiem stała w izbie od Palmowej Niedzieli do Wielkanocy, lub do czasu kiedy straciła świeżość.

Wielu mieszkańców Ciechanowa pamięta polną drogę wysadzoną wierzbami, będącą przedłużeniem ulicy Wyspiańskiego i prowadzącą do Kargoszyń. Kilkanaście lat temu w czasie wiosennego spaceru można było tam posłuchać śpiewu skowronków lub kwilenia czajek, kołujących nad rozlewiskami wiosennych wód na łąkach. Majowe wieczory na osiedlu Kargoszyń umilały koncerty żab. Dzisiaj nie ma drogi wysadzonej wierzbami, nie ma wiosną skowronków ani czajek, żaby – o ile w ogóle jeszcze rechoczą – to anemicznie. Jest za to ulica Wierzbowa i rozrastające się przy niej nowoczesne osiedle mieszkaniowe oraz Obwodnica Ciechanowa w ciągu drogi krajowej nr 60.

Polna droga wysadzana wierzbami, która padła pod naporem cywilizacji, to dawny wygon. Taka nazwa funkcjonowała i nadal jeszcze funkcjonuje w świadomości starszych, rdzennych mieszkańców Kargoszyń. A cóż to takiego jest wygon? Słowo to jest nazwą wspólnego



Palma

pastwiska wiejskiego lub też drogi prowadzącej na pastwisko. Na Mazowszu od czasów średniowiecza pastwiska w każdej wsi stanowiły własność gromadzką. Każdy mieszkaniec wsi - niezależnie od statusu społecznego - mógł na pastwisku wypasać swój żywy inwentarz. Pastwiska obejmowały grunty nieobsiewane i niekoszone, czyli wyłączone z pól uprawnych i łąk, z których zbierano siano. Chudobę wypasano również na ugorach i wszelkich nieużytkach, także w lasach. Zwyczajowo po św. Michale (29 września) można było wypasać zwierzęta również na polach uprawnych, z których zostały zebrane plony, do czego odnosi się przysłowie: *Święty Michał między porozpychał*. Wiechcie trawy lub słomy osadzone na kołkach wetkniętych w ziemię informowały pastuchów, na które pola mogą już wpędzać inwentarz. W wsiach pańszczyźnianych stada dworskie i chłopskie wypasano razem, pod opieką pastucha i owczarza, których zatrudniał dwór, a we wsiach drobnoszlacheckich i włościańskich – ogół gospodarzy.

Wygon w Kargoszyńce był pamiątką dawnego układu osadniczego, być może pamiętającego czasy sprzed parcelacji ziemi dworskiej w 1866 r., na której powstały dwadzieścia dwie osady drobnoszlacheckie. W latach międzywojennych kargoszyński wygon biegł przez pola największego gospodarstwa, należącego do rodziny Ropelewskich i prowadził na łąki, których resztki pozostały do dziś przy obwodnicy. Wierzby rosnące po obu stronach wygonu sadził Stefan Ropelewski.



Procesja w Palmowa Niedzielę, Sulerzyż 2017
(archiwum parafialne)



Procesja w Palmowa Niedzielę, Sulerzyż 2019
(archiwum parafialne)

Po wojnie rodzina Ropelewskich, uznana przez komunistyczny reżim za wrogów ludu pracującego, musiała opuścić Kargoszyn, a jej kułackie gospodarstwo zostało rozparcelowane.

Wygon przez wiele lat służył jako najkrótsza droga z Kargoszyna do miasta i do kościoła, a dla mieszkańców rozbudowującego się osiedla Kargoszyn był miejscem spacerów pieszych i rowerowych przejażdżek. Do czasu, bo przyszedł taki moment, kiedy wzdłuż wygonu zaczęły wyrastać domy jednorodzinne. Ręka złego człowieka zaczęła niszczyć i podpalać wierzby, wreszcie polną

drogę pokrył tak pożądanym przez kierowców asfalt. A wierzby? Któż by się nimi przejmował. A przecież te rosochate, poskręcane w różne kształty drzewa, wypróchniałe w środku, pełne szczelin i dziupli były domem dla przeróżnych owadów i ptactwa. Gnieździły się w nich sowy, kawki, szpaki, sikory, drozdy, pliszki, a wcześniej nawet dudki. Jedynym wspomnieniem po dawnym wygonie pozostała samotna *pierdziółka* nad rowem, czyli oddalona nieco okazała grusza polna rodząca ulęgałki, nadzwyczaj pięknie prezentująca się w porze kwitnienia.



Wygon w Kargoszynie – wierzby umierają stojąc



Wygon w Kargoszynie z ogłowionymi wierzbami, 2006



Kargoszyn, ulica Wierzbowa, luty 2023 r.

Cytowany wcześniej Jerzy Grzymkowski, ubolewając nad losem mazowieckich wierzb niszczonej z racji budowy dróg, pisze: *Powstanie więc piękna, asfaltowa szosa, z gładką nawierzchnią, biegnąca nago przez okoliczne pola. Jeszcze jeden kawałek matki-ziemi zduszony w asfaltowej obroży. A sympatyczny diabeł Rokita prawdopodobnie całkiem wyniesie się*

z tych stron. Zastanawiam się czasami, jakby wyglądał pomnik Szopena z warszawskich Łazienek, gdyby tworzono go za lat pięćdziesiąt ... Czy przedstawiony byłby na tle mazowieckiej wierzbki? Wątpię ... Bo skąd wówczas artysta wziąłby model?

Tomasz Czerwiński

Zdjęcia nieoznaczone autora.